Piątek 3.07.2026 | Nr 152 (22.753) | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT) | www.gazetalubuska.pl | Nr ISSN 0137-9518 | Nr indeksu 350-222

GAZETA LUBUSKA

Nasz **Pociąg Marzeń** ruszył już w swą coroczną trasę, by spełniać dziecięce sny o pięknych wakacjach. Dołączysz? W zeszłym roku wspólnie podarowaliśmy dzieciom mnóstwo radości – sprawmy znów razem, aby nowa edycja okazała się sukcesem!

Twój mały gest ma wielką moc: wesprzesz nie tylko wakacje, ale też rehabilitację, zakup sprzętu medycznego i inne świadczenia.

Przystąp do naszej wyjątkowej akcji i dołącz swój wagonik dobra. **Szczegóły znajdziesz wewnątrz wydania, na stronie 10.**

9 770137 951056 27

eprasa.pl 7650a3d8f2

TYDZIEŃ Z GAZETĄ LUBUSKĄ

JUTRO
● *przy* **SOBOCIE**
tłumaczy, radzi, bawi...

PONIEDZIAŁEK
● **DODATEK SPORTOWY**
Wyniki, tabele i analizy

WTOREK
● **PULS BIZNESU**
Przepisy prawne, opinie

ŚRODA
● **MAGAZYN ZDROWIE**
Jak zadbać o siebie i bliskich

CZWARTEK
● **POD PARAGRAFEM**
Historie kryminalne

PIĄTEK
● **PULS POLSKI**
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 68 381 70 52, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata@gazetalubuska.pl

Janusz Michalczyk

UŚCISKI NA POKAZ JUŻ NIEPOTRZEBNE

Kilka dni temu przechodziłem przez jezdnię w drodze na przystanek tramwajowy, tuż przede mną maszerował starszy mężczyzna, a kilka kroków przed nim dziewczyna. Zauważyłem, że facet kręci głową zerkając na nią, wykrzywia w złości twarz, z ust płyną ciche przekleństwa. Jego zachowanie było dla mnie zagadkowe, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że wyprzedzająca obu nas dziewczyna mówi głośno po ukraińsku, rozmawiając z kimś przez słuchawki smartfona. W sekundę mnie zmroziło.

Politycy lekceważą fatalne skutki, jakie mogą wywołać ich słowa i decyzje, najważniejsze są dla nich słupki poparcia w sondażach i walka o władzę. Można też przypuszczać, że raczej niewielu Polaków i Ukraińców weźmie sobie do serca apel o niepodgrzewanie nastrojów, który wystosowało wspólnie kilka dni temu trzech naszych kardynałów i dwóch duchownych zza naszej wschodniej granicy. Niechęć będzie narastać.

Niewykluczone, że Wołodymyr Zełenski skończy jak Winston Churchill, który poprowadził Brytyjczyków do zwycięstwa nad niemieckim faszyzmem, ale rodacy mieli go po dziurki w nosie i krótko po wojnie odesłali na emeryturę. Nie ma się jednak co łudzić, że wtedy w relacjach polsko-ukraińskich zapanuje sielanka. Wielu naszych analityków wskazuje, że - oprócz wspólnego wroga w postaci imperialnej Rosji - mamy wiele sprzecznych interesów ekonomicznych, zaś ocena tragicznych wydarzeń z przeszłości będzie nas długo dzielić.

Najwyraźniej ukraińskie elity nabrały przekonania, że mogą rozmawiać z Berlinem, Paryżem i Londynem bez oglądania się na polskie władze. Sytuacja zmieni się radykalnie, gdy na froncie zapanuje cisza. Zgadzam się z tymi komentatorami, którzy przekonują, że w czasach pokoju to my będziemy mieć mocniejsze karty i Kijów wcześniej czy później spuści z tonu. Ukraińcy potrafią się bić, jednak nie pokazali zdolności do zbudowania silnego, demokratycznego państwa.

Wcale nie będzie źle, jeśli na poziomie rządowym zapanuje chłodny rachunek korzyści i strat. Nikomu nie są już potrzebne uściski na pokaz i poklepywanie się po plecach z udawaną sympatią. Natomiast wyzwaniem dla każdego rozsądnego człowieka pozostaje, jak kontrolować się na tyle, by nie ulegać odruchom niechęci w codziennych, zwykłych kontaktach.

”

Niemal wszystkie dzieci na świecie są narażone na zagrożenia klimatyczne. 1,8 mld najmłodszych odczuwa skutki ekstremalnych susz

Raport UNICEF

Festiwal bez czerwonego dywanu, ale z klimatem

Leszek Kalinowski
lkalinowski@gazetalubuska.pl

Trwa 55. Lubuskie Lato Filmowe. W sobotę w łagowskim amfiteatrze poznamy laureatów najstarszego filmowego festiwalu. Miłośnicy X Muzy po raz kolejny mówią o duchowej uczcie, w programie znalazło się 200 filmów.

FOT. JACEK KATOS

Tradycyjnie już podczas festiwalu zostaną przyznane nagrody w kategorii filmów fabularnych, krótkich filmów fabularnych oraz projektów dokumentalnych. Projekcje odbywają się w salach Leśnika oraz w amfiteatrze. Jak co roku nie brakuje spotkań z twórcami i gorących dyskusji w swobodnej atmosferze. I tym różni się ten festiwal od innych. Ma swój klimat, jest mniej oficjalny. W czasach poprzedniego ustroju wymykał się spod kontroli i nie był ulubionym wydarzeniem kulturalnym ówczesnych władz.

Okazja do poznania kina sąsiadów

- Cieszę się, że ta nieoficjalna atmosfera panuje w Łagowie do dziś. Właśnie dlatego tak sobie cenię Lubuskie Lato Filmowe i zawsze staram się brać urlop, by choć na dwa, trzy dni poczuć ten klimat. Poza tym gdzie można jeszcze poznać kino naszych sąsiadów? Wszędzie tylko amerykańskie produkcje. A ja jestem ciekawy, jakie filmy robią Niemcy, Czesi, Węgrzy, Bułgarzy czy Litwini - mówi Tomasz Ziemkowski z Zielonej Góry.

Miłośnicy X Muzy podkreślają, że pobyt w Łagowie to nie tylko okazja, by poznać filmowe nowości, ale i zobaczyć ważne filmy sprzed lat. Jak choćby „Wszystko na sprzedaż” Andrzeja Wajdy z 1969 roku. Obraz zdobył główną nagrodę podczas pierwszego festiwalu Lubuskie Lato Filmowe.

Podczas tegorocznej edycji obejrzeliśmy m.in. „Dom dobry” Wojciecha Smarzowskiego czy „Ministrantów” Piotra Domalewskiego. W piątek, 3 lipca, o 13.45 zobaczymy „Franza Kafkę” Agnieszki Holland, a na godz. 19.15 zaplanowano pokaz „Ojczyzny” Pawła Pawlikowskiego, a w sobotę o 14.00 - „Dobrego chłopca” Jana Komasy.

Kto dostanie Grona?

Uroczyste gala w amfiteatrze odbędzie się w sobotę o godzinie 21.00. Wtedy zaplanowano rozdanie nagród. O tym, kto otrzyma Złote, Srebrne i Brązowe Grono, zdecyduje jury w składzie: Maria Zbąska, Agnieszka Żulewska, Tomasz Raczek i Korek Bojanowski. Tradycyjnie też przyznana zostanie Nagroda Zielonego Gronka, zwycięzcę wskaże młodzieżowe jury. Nie zabraknie też wręczenia nagrody publiczności.

Galę poprzedzi występ Spiętego, początek - godz. 19.30. Natomiast po rozdaniu nagród, o godz. 22.30 zaplanowano pokaz filmu pt. „ Chopin, Chopin!” w reżyserii Michała Kwiecińskiego.

To promocja Lubuskiego

Jak słyszymy od gości festiwalu, którzy przyjeżdżają tu z różnych zakątków Polski, i nie tylko, Lubuskie Lato Filmowe od lat pozostaje wierne swojej misji promowania ambitnego kina i budowania przestrzeni do dialogu o współczesnym świecie. To właśnie dlatego publiczność wraca tu każdego roku - nie dla czerwonego dywanu, lecz dla wyjątkowych filmów, inspirujących spotkań i atmosfery, której nie da się znaleźć nigdzie indziej.

W otoczeniu jezior i zabytkowego zamku widzowie mogą przeżywać kino w wyjątkowy sposób - wspólnie, bez pośpiechu i w bliskim kontakcie z jego twórcami.

Organizatorem Lubuskiego Lata Filmowego jest Klub Kultury Filmowej w Zielonej Górze.

- Lubuski festiwal to także promocja Łagowa i całego województwa. Życzymy więc, by plany związane z budową Centrum Kultury z salą kinową na 300 miejsc w Łagowie stały się rzeczywistością - mówią stali bywalcy wydarzenia Kamila i Wojciech Szumkowscy z Zielonej Góry.

Maszt na Czarkowie. Operator odpowiada

Eliza Gniewek -Juszczak
egniewek@gazetalubuska.pl

Wracamy do protestu mieszkańców os. Czarkowo, którzy sprzeciwiali się budowie masztu wśród bloków. Otrzymaliśmy odpowiedzi na nasze pytania od operatora, który planuje inwestycję

FOT. ELIZA GNIEWEK-JUSZCZAK

Lokalizację telefonii komórkowej przy ul. Inwestycyjnej w Zielonej Górze wielu mieszkańców uznało za nieśmieszny żart. Tłumaczyli, że taka infrastruktura powinna być stawiana w większej odległości od bloków. Proponowali też dyskretne rozwiązania, jak małe anteny na dachach lub latarniach.

- Czy wobec zbiórki podpisów części mieszkańców przeciw inwestycji, jest wybrana inna lokalizacja? - zapytaliśmy operatora telefonii komórkowej.

- W tej chwili nie wykluczamy żadnego scenariusza, w tym również skorzystania z innej lokalizacji. Ostateczna decyzja nie została jeszcze podjęta - odpowiada Jakub Chajdak z Departamentu Komunikacji Korporacyjnej T-Mobile Polska SA.

Zapytaliśmy też, czy wiadomo kiedy będzie gotowa rozpoczęta budowa masztu na terenie oczyszczalni ścieków w sołectwie Łężyca.

- Planowany termin uruchomienia stacji to początek przyszłego roku, ale staramy się przyspieszyć proces ze względu na konieczność poprawy zasięgu w okolicy - zapowiada Chajdak.

Dopytywaliśmy też, czy oddanie tego masztu do użytku poprawi zasięg mieszkańców os. Czarkowo. - Niestety, ze względu na dużą odległość i trudny teren, stacja na oczyszczalni nie rozwiąże wszystkich problemów - odpowiedział przedstawiciel sieci.

eprasa.pl 7650a3d8f2

nasz
REGION

ZA TYDZIEŃ W MAGAZYNIE
Tajnos Agentos w Gołębiewskim
Już za tydzień w Magazynie GL obszerna relacja z pobytu naszego dziennikarza w największym hotelu w Polsce, który staną w Pobierowie. Sprawdziliśmy, co się tam je, za co płaci, co nie działa, co zaskakuje pozytywnie, a co działa na nerwy. Przyjrzeliśmy się też, jaki jest poziom obsługi, jak rozpatrywane są reklamacje (oj, z tym hotel ma spory kłopot), czy można liczyć na cuda „od ręki" Nasz tajny agent ocenił też miejsca parkingowe, zejście na plażę, widoki z okien, przyjrzał się też wykończeniówce - kaflom, tapetom itd. Nie przegapcie!

FOT. TAJNOS AGENTOS

Urodziny Gorzowa. Zbigniew Lewkowicz został honorowym obywatelem miasta

Jarosław Miłkowski
jmilkowski@gazetalubuskja.pl

Z wraku auta została tylko blaszana, pogięta, spalona karoseria. Z wewnątrz strażacy wydobyli spalone ciała trzech mężczyzn. Ogromna tragedia miała miejsce na mało ruchliwej, lokalnej drodze.

FOT. ŁUKASZ KULCZYŃSKI/UM W GORZOWIE
Zbigniew Lewkowicz jest 22 osobą, której przyznano tytuł honorowego obywatela Gorzowa

Tegoroczne świętowanie ma trwać cztery dni. Miasto zostało założone 2 lipca 1257 roku, gdy margraf Johann I specjalnym dokumentem upoważnił do tego Albrehta de Luge. Na początku nazywało sęi Landisberch Nova, później przybrało nazwę Landsberg an der Warthe, a dziś już jako Gorzów Wielkopolski właśnie świętuje 759 lat.

Wczoraj, w dniu „urodzin", było bardzo oficjalnie. Najpierw w południe na placu Grunwaldzkim zabrzmiał Dzwon Pokoju, a kilkadziesiąt minut później rozpoczęła się uroczysta sesja rady miasta. Od lat jest ona okazją do przyznania tytułu honorowego obywatela miasta. W tym roku został nim Zbigniew Lewkowicz, prezes Gorzowskiego Związku Sportu Niepełnosprawnych „Start". Stało się to w ważnym czasie. 2026 jest w Gorzowie uznany Rokiem Sportu bez Barier.

- To dla mnie wzruszająca chwila. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będę w ten sposób wyróżniony. To jest docenienie tej pracy, którą wykonuję od ponad trzydziestu lat w środowisku sportu osób z niepełnosprawnościami. To wyróżnienie nie tylko moje, ale również całego środowiska - mówił naszemu dziennikarzowi Z. Lewkowicz, który jest także trenerem kadry narodowej paralekkoatletów, trenerem w Starcie oraz nauczycielem w Zespole Szkół Specjalnych nr 14.

Choć w młodych latach stracił lewą dłoń, sport to dla niego całe życie.

- Od najmłodszych lat grałem w piłkę nożną. Nawet na poziomie czwartej ligi - w Warcie Gorzów, Osadniku Myślibórz, Koronie Borek - wylicza 22. honorowy obywatel Gorzowa. Bycie trenerem daje mu bardzo dużą satysfakcję. - Jako trener brałem udział na sześciu paraigrzyskach, kilkunastu mistrzostwach Europy czy świata - mówi. I już zaprasza na październikowe obchody 50-lecia Startu, w którym w dziewięciu różnych dyscyplinach trenuje aktualnie ponad sto pięćdziesiąt osób.

- Zawodnicy pana Zbigniewa zdobyli ponad sto dziewięćdziesiąt medali na różnych mistrzostwach - mówił w laudacji przed nadaniem tytułu prezydent Jacek Wójcicki. - Każdego dnia pokazuje, że przeciwności losu nie są w stanie zatrzymać człowieka obdarzonego pasją, odwagą i wielkim sercem. Przez całe swoje życie udowadnia, że prawdziwe mistrzostwo rodzi się nie tylko na stadionie, ale w codziennym poświęceniu drugiemu człowiekowi - dodawał prezydent.

Po wczorajszej części oficjalnej, dziś z kolei zaczyna się świętowanie. Urodziny Miasta, bo taką nazwę ma trzydniowa impreza, po raz pierwszy odbędzie się w zupełnie nowym miejscu. Tym razem nie będzie to Stary Rynek, nie będzie też plac nad Wartą, a jedna z części Parku Górczyńskiego. Dokładnie ta, która jest bliżej ronda Gdańskiego i ma nawet „amfiteatralny" charakter, bo różnica poziomów powoduje, że koncerty będzie można oglądać i ich słuchać z różnych wysokości.

- Testujemy Park Górczyński. Myślę, że Gorzowianie będą zaskoczeni jego możliwościami parku. Mieszkańcy największego gorzowskiego osiedla, czyli Górczyna, będą mogli przyjść tu w kapciach - mówi prezydent.

Zabawa rozpocznie się już o 18.00 - na scenie pojawi się zespół taneczny Trans, a o 18.30 wystąpią Buziaki. O 19.30 przyjdzie czas na oficjalny start świętowania i życzenia.

- Będę życzył przede wszystkim wytrwałości i cierpliwości. Dzisiejszy świat jest bardzo mocno internetowy. W internecie niecierpliwimy się, w internecie chcemy wszystkiego na już, natychmiast. Kiedy spotykam się z mieszkańcami, kiedy rozmawiam z nimi osobiście, jest w nich dużo cierpliwości, dużo zrozumienia i dużo rozsądku w myśleniu o naszym mieście - mówi „Gazecie Lubuskiej" Jacek Wójcicki.

Dzisiejszy wieczór upłynie w rytm muzyki tanecznej. O 20.00 wystąpi zespół D-Bomb, o 21.00 Piękni i Młodzi Dawida Narożnego, o 22.00 - Weekend, a o 23.30 Skolim.

W sobotę koncerty zaczną się o 18.30 od występu Sound'n'Grace, po czym o 20.00 wystąpi Jamal, a o 21.30 Patrycja Markowska (po niej o 22.45 muzykę taneczną grać będzie DJ Nambear).

W niedzielę będzie i trochę rodzinnie, i trochę lokalnie. O 16.00 zacznie śpiewać Małe TGD, o 17.30 zacznie się koncert gorzowskiego Tymek Zalewski Band, o 18.30 Łukasza Reksa (przez ponad dekadę był w Małych Gorzowiakach), a o 20.00 wystąpi Roxie Węgiel.

By na Górczyn mogli dotrzeć mieszkańcy innych części miasta, przez trzy dni będzie kursować autobusowa linia specjalna o numerze 769. Pomiędzy Wałem Okrężnym, centrum a rondem Gdańskim dziś i jutro będzie ona jeździć od 17.50 do 23.30 , z kolei w niedzielę przystankiem początkowym będzie dla niego „Katedra" koło Arsenału, skąd autobusy będą odjeżdżać od 17.45 co pół godziny.

REKLAMA 0011530140

eprasa.pl 7650a3d8f2

ZIELONA GÓRA MIESZKAŃCY MAJĄ DOŚĆ KORKÓW

Miasto prosi o cierpliwość

Eliza Gniewek-Juszczak
egniewek@gazetalubuska.pl

Wczoraj na zakorkowane ulice Zielonej Góry, spowodowane remontem ul. Poznańskiej udali się pracownicy departamentu zarządzania drogami.

FOT. MARIUSZ KAPAŁA

„Prosimy mieszkańców o cierpliwość, to najtrudniejszy moment tego remontu"

Zapowiadany remont ul. Poznańskiej zaczął się zgodnie z planem, w środę 17 czerwca. Pojawiło się wahadło od strony Zawady. Jeszcze wtedy nie wzbudzało specjalnych emocji. Kiedy prace pojawiły się bliżej ronda Rady Europy i przestał być dostępny wjazd na rondo, pojawiły się korki.

W środę z apelem do władz miasta i policji zwróciła się w mediach społecznościowych jedna z mieszkanek Chynowa.

„Naraziliście kierowców w szczególności w godzinach szczytu: rano i po południu, na totalną klęskę komunikacyjną! Kierowcy stoją w korkach w kilku miejscach: ul Poznańska, ul. Gorzowska, ul Kostrzyńska, Trasa Północna" - napisała pani Aleksandra. Zwróciła uwagę, że nie ma znaczenia że to początek wakacji, ruch nie jest mniejszy, bo wciąż trzeba jeździć do pracy i wozić dzieci na zajęcia. Zaapelowała o pilną zmianę organizacji ruchu, np. ruch wahadłowy na ul. Poznańskiej, lub ruch kierowany przez Policję.

„Rozumiem, że trzeba zrobić remont, ale organizacyjnie nie zostało to w prawidłowy sposób zaplanowane. Mieszkańcy i przejezdni - jesteśmy sparaliżowani w godzinach szczytu. Proszę o pilną pomoc dla kierowców, bo remont tego odcinka drogi zapewne potrwa dłuższy czas, jeśli pracownicy drogowi o godz 16 kończą pracę, a my pozostajemy uziemieni..." - podkreśliła.

W środę po południu jechaliśmy na Chynów. Było przed godz. 17, ruch w kierunku osiedla nie był nasilony, ale powrót kilkanaście minut później, przy wyjeździe ze strefy ekonomicznej na Trasę Północną i dalej w kierunku Ronda Rady Europy ruch był wzmożony, stał korek, kumulowały się samochody jadące z dwóch kierunków. O sprawie rano w czwartek poinformowaliśmy urząd miasta, przekazując też apel mieszkanki Chynowa.

Tego samego dnia ekipa z departamentu zarządzania drogami udała się na miejsce w czasie nasilenia ruchu.

- W tym momencie przy skrzyżowaniu przy wjeździe na ul. Gorzowską jest postawiony człowiek, który kieruje ruchem, zatrzymuje do pewnego momentu samochody, żeby nie zablokować ronda i przepuszcza auta jadące od strony Cigacic w ul. Gorzowską - wyjaśnia Justyna Matyja z Biura Prasowego UM. Wzmożone natężenie ruchu jest też monitorowane i utrwalane na nagraniach z drona.

Pracownicy departamentu zarządzania drogami przeanalizują sytuację. Sugerują, że proponowany przez mieszkankę ruch wahadłowy w tym miejscu zablokowałby rondo. Justyna Matyja odnosi się też do zarzutów o brak pracowników na budowie drogi. Okazuje się, że po obfitych deszczach wykonane prace zamokły, wszystko musi wyschnąć i odparować, aby podbudowa jezdni została wykonana właściwie.

- Prosimy mieszkańców o cierpliwość, to najtrudniejszy moment tego remontu. Jeśli ktoś może zaplanować przejazd chwilę później lub wcześniej, zarówno rano, jak i popołudniu, to warto tak zrobić - apeluje. - Wykonawca robi oba pasy jednocześnie, żeby za chwilę, gdy zostaną wyremontowane, można było się po nich poruszać - zapowiada.

REKLAMA 0111545219

Warta w Gorzowie ponownie stanie się areną widowiskowych regat

Magdalena Marszałek
mmarszalek@gazetalubuska.pl

Rytmiczne uderzenia bębna, synchroniczna praca wioseł i sportowe emocje, które trzymają w napięciu do ostatnich metrów. W sobotę wystartują widowiskowych regaty smoczych łodzi.

FOT. MAGDA MARSZAŁEK

Jedno uderzenie bębna i zaczyna się walka. Tak wyglądają te wyścigi

Historia smoczych łodzi sięga starożytnych Chin, jednak dziś ten efektowny sport zdobywa coraz większą popularność na całym świecie. Charakterystyczne łodzie o długości kilkunastu metrów zdobią rzeźbione głowy i ogony smoków, a ich największą siłą nie jest jednak wygląd, lecz doskonała współpraca załogi.

- W każdej drużynie znajduje się minimum dziesięciu zawodników, w tym sternik, który odpowiada za kurs łodzi, oraz bębniarz, a więc kluczowa postać, której rytmiczne uderzenia wyznaczają tempo wiosłowania. Zawodnicy siedzą na ławkach przodem do kierunku płynięcia i poruszają łodzią dzięki wspólnemu, synchronicznemu wysiłkowi - wyjaśnia Tomasz Maciejewski, prezes Klubu Sportowego Admira, który organizuje wyścigi.

Choć wyścigi smoczych łodzi kojarzą się z profesjonalnymi zawodnikami, organizatorzy podkreślają, że jest to dyscyplina otwarta praktycznie dla każdego.

- Wystarczą chęci, odrobina odwagi i gotowość do współpracy z całą załogą. Regaty mają przede wszystkim zachęcać do aktywności fizycznej i pokazywać, że sport może być doskonałą formą integracji oraz wspólnej zabawy. Chcemy, żeby każdy, niezależnie od wieku czy doświadczenia, mógł poczuć ducha sportowej rywalizacji - zachęcają.

Zmagania odbędą się w trzech kategoriach. Będą to dzieci i młodzież do osiemnastego roku życia, dorośli amatorzy oraz zawodowcy, którzy od lat trenują i biorą udział w profesjonalnych zawodach. Organizatorzy przygotują strefę kibica z doskonałym widokiem na trasę regat, a po zakończeniu wyścigów na terenie Admiry przy Wale Okrężnym odbędzie się rodzinny piknik. Start imprezy o godzinie 10:00.

eprasa.pl 7650a3d8f2

Nie kredyt i nie deweloper. O te mieszkania w Gorzowie walczą setki chętnych

Magdalena Marszałek
mmarszalek@gazetalubuska.pl

333 osoby złożyły wnioski o wynajem 97 nowych mieszkań budowanych przez Gorzowskie Towarzystwo Budownictwa Społecznego przy ulicy Przemysłowej. To jeden z największych takich naborów w ostatnich latach. O tym, kto otrzyma klucze do nowego lokum zdecyduje losowanie.

Nowa inwestycja jeszcze nie została ukończona, a już bije rekordy popularności. W ciągu zaledwie trzech tygodni wpłynęło ponad trzysta wniosków na niespełna sto mieszkań. To oznacza, że o jedno mieszkanie ubiega się średnio ponad trzech chętnych.

- Spodziewaliśmy się dużego zainteresowania, ale nie aż takiego. Najwięcej chętnych jest na mieszkania dwupokojowe, bo to ponad sześćdziesiąt procent wszystkich wniosków. Z kolei blisko dwadzieścia pięć procent dotyczy mieszkań trzypokojowych, a czternaście procent jednopokojowych - mówi Tomasz Gierczak, prezes Gorzowskiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego.

Najwięcej mieszkań w nowym budynku stanowią właśnie lokale dwupokojowe. Będzie ich siedemdziesiąt jeden. Do dyspozycji przyszłych najemców przygotowano także piętnaście mieszkań trzypokojowych oraz jedenaście kawalerek. Wszystkie zostaną oddane w standardzie pod klucz, wyposażone w kuchenkę elektryczną, zlewozmywak oraz biały montaż w łazience.

- Cały obiekt będzie w pełni przystosowany do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Na terenie inwestycji przewidziano również dwa place zabaw, duży parking, tereny zielone i zbiornik retencyjny chroniący przed nadmiarem wód opadowych - wylicza Tomasz Gierczak.

W naborze nie obowiązywała zasada „kto pierwszy, ten lepszy". Wszystkie wnioski były zbierane do końca czerwca. Obecnie trwa weryfikacja dokumentów pod kątem kompletności oraz spełnienia kryteriów.

FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

- Obowiązuje system punktowy. Najwięcej punktów otrzymują osoby rozliczające podatki w mieście, ponieważ chcemy premiować mieszkańców, którzy wspierają jego rozwój. Dodatkowe punkty przysługują również między innymi osobom z niepełnosprawnościami oraz młodym ludziom opuszczającym pieczę zastępczą. Chcemy ułatwić im start w dorosłe życie i zapewnić szansę na stabilne mieszkanie - mówi Gierczak.

Po zakończeniu tego etapu sporządzona zostanie lista osób zakwalifikowanych do losowania. W każdej kategorii mieszkań lokale zostaną rozlosowane spośród najwyżej ocenionych wniosków.

- Wyniki kwalifikacji chcemy ogłosić w ciągu najbliższych dni. Następnie, w obecności notariusza, przeprowadzimy losowanie. Chcemy rozstrzygnąć nabór do końca lipca, aby chwilę po zakończeniu inwestycji umożliwić od października zasiedlanie mieszkań - zapowiada.

Przyszli najemcy będą musieli wpłacić kaucję - od 8 063 zł za najmniejsze mieszkanie do 23 405 zł za największe. Czynsz nie powinien przekroczyć 26,35 zł za metr kwadratowy.

Inwestycja powstaje przede wszystkim z myślą o osobach, które zarabiają zbyt dużo, aby otrzymać mieszkanie komunalne, ale jednocześnie nie mają zdolności kredytowej pozwalającej kupić własne mieszkanie.

- Skala zainteresowania pokazuje, że powrót budownictwa społecznego do Gorzowa był bardzo dobrą decyzją. Mamy już doświadczenie. Ponad dwadzieścia lat temu wybudowaliśmy blisko pięćset mieszkań, a dziś wracamy z kolejnymi inwestycjami. Tak duża liczba wniosków potwierdza, że mieszkańcy potrzebują takiej oferty - podkreśla Gierczak.

MATERIAŁ INFORMACYJNY WARTY

0211527068

Ubezpieczeniowe gwarancje wspierają konkurencyjność firm

Żeby się rozwijać, firma musi zdobywać zlecenia na swoje produkty i usługi. W takich branżach, jak budownictwo czy transport oznacza to przede wszystkim wygrywanie przetargów. To jednak wymaga mrożenia gotówki: najpierw na wadium, potem na różne formy zabezpieczenia kontraktu. Ogranicza to ekspansję wielu przedsiębiorstw. Rozwiązaniem jest propozycja Warty, która oferuje gwarancje ubezpieczeniowe bez konieczności wystawiania papierowego weksla.

O tym, jak ważne jest to rozwiązanie, świadczy fakt, że utrzymanie płynności finansowej to obecnie główne wyzwanie dla polskich firm z sektora małych i średnich przedsiębiorstw, co potwierdziły badania Instytutu Keralla Research, przeprowadzone w kwietniu na zamówienie Warty. Jednocześnie w tym samym badaniu aż 46% firm przyznało, że zrezygnowało z kontraktu z powodu barier finansowo-biurokratycznych. Biurokrację zaś, jako bezpośredni hamulec rozwoju, wskazał co piąty przedsiębiorca.

Dobry czas dla ekspansji firm

Gospodarka każdego kraju naturalnie się zmienia – okresy szybkiego wzrostu regularnie przeplatają się ze spowolnieniem. Cała sztuka polega na tym, aby dobre czasy trwały jak najdłużej, a kryzysy były krótkie i łagodne.

Obecnie prognozy dla Polski wyglądają optymistycznie. Dzięki wsparciu z funduszy unijnych nasz krajowy produkt rośnie w tempie ponad 3% rocznie i podobne tempo prognozowane jest na lata kolejne. To oznacza stały popyt na oferowane przez polskich przedsiębiorców towary i usługi. Jednocześnie, w przywołanym już badaniu na zlecenie Warty, aż 68% przedsiębiorców deklaruje wprost: gdyby formalności było mniej, bralibyśmy udział w większej liczbie przetargów.

Kluczem do sukcesu w przetargach – obok prostszych procedur – jest uwolnienie firmowych pieniędzy na każdym etapie walki o kontrakt. Dzięki nowoczesnym rozwiązaniom finansowym, firmy nie muszą już zamrażać własnej gotówki na kontach inwestorów ani obciążać swojego limitu kredytowego w banku.

Finansową płynność można zachować od samego początku. Zamiast wpłacać gotówkowe wadium na start, firma może elastycznie przystąpić do przetargu. Kolejny zysk pojawia się przy podpisaniu umowy: zanim wpłyną pierwsze płatności za realizację, firma chroni swój kapitał obrotowy, zabezpieczając kontrakt bez angażowania własnych środków. Chroni to biznes również przed ryzykiem opóźnień czy niesłusznych roszczeń.

Największą korzyść widać w sytuacjach spornych. Bezpieczne instrumenty finansowe gwarantują, że nawet podczas rozmów z inwestorem, firmowy kapitał pozostaje wolny i cały czas pracuje na kolejne sukcesy przedsiębiorstwa.

Partner dający przewagę

Warta pomaga uczestnikom przetargów uwolnić zamrożony kapitał dzięki szerokiej ofercie gwarancji. Gwarancje przetargowe umożliwiają firmom udział w postępowaniach bez konieczności angażowania własnych środków finansowych. Z kolei gwarancje należytego wykonania kontraktu oraz usunięcia wad i usterek wzmacniają wiarygodność przedsiębiorstwa w oczach inwestorów, a jednocześnie zapewniają ochronę na wypadek problemów związanych z realizacją zamówienia. Dla firm, które po wygraniu przetargu mogą skorzystać z płatności zaliczkowej, czyli częściowej zapłaty za kontrakt przed rozpoczęciem realizacji prac, Warta oferuje zabezpieczenie wymagane od zamawiającego, aby wypłata środków pieniężnych na konto wykonawcy była możliwa. Są to tak zwane gwarancje zaliczkowe. Wachlarz propozycji zamykają zaś gwarancje specjalistyczne.

Największym atutem Warty jest pełna cyfryzacja – w przypadku gwarancji do 500 tysięcy złotych i maksymalnemu zaangażowaniu do wysokości 2 milionów złotych, nie ma wymogu złożenia papierowego weksla. Jako pierwszy ubezpieczyciel na rynku Warta na szeroką skalę eliminuje papierowy obieg dokumentów. Dzięki temu proces jest błyskawiczny i całkowicie cyfrowy od początku do końca.

Współpraca z Wartą to dla firm potrójny zysk: oszczędność czasu, bezpieczna płynność finansowa i wyższa wiarygodność na rynku. To trzy filary, które budują sukces w każdym biznesie.

eprasa.pl 7650a3d8f2

Zapomniany świat ceramiki

FOT. ARCH. MUZEUM W ŻARACH

Mirostowicka ceramika zachwycała swoim designem

Jarosław Wnorowski
ZIELONA GÓRA

Dziś o godz. 17 w Sali Witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej odbędzie się otwarcie wystawy „Mirostowickie Zakłady Ceramiczne. Ceramika codzienności z kolekcji Radosława Rudzińskiego".

Mirostowice Dolne to niewielka wieś położona niedaleko Żar. Dzięki bogatym złożom gliny przez niemalże 120 lat dawała mieszkańcom okolicznych miejscowości zatrudnienie i opiekę. Tam też w 1873 roku rozpoczęła się historia niemieckiego zakładu „Ullersdorfer Werke". Już po wojnie, w 1947 roku nastąpił kolejny, polski rozdział w dziejach przedsiębiorstwa, które po upaństwowieniu funkcjonowało aż do lat 90. XX w. Na wystawie zobaczymy przede wszystkim porcelit stołowy: do kawy, kubki, naczynia kuchenne ceramikę codziennego użytku. Większość eksponatów pochodzi od Radosława Rudzińskiego. To zielonogórski kolekcjoner rzemiosła artystycznego, historyk, bloger, youtuber oraz aktywny popularyzator polskiej ceramiki użytkowej z okresu PRL. Wygłosi on wykład poświęcony historii przedsiębiorstwa oraz jego wyrobów pt. „Od klinkieru do porcelitu - ceramika codzienności". Wstęp wolny.

WYDARZY SIĘ

REGION

Co nas czeka już niedługo

4.07 - Grape Land Festval, Łochowice, gm. Krosno Odrzańskie,
4.07 - Koncert duetu „Prześwit", Piwnica Artystyczna Kawon, Zielona Góra,
7-9.07 - Meandry Festival, Brzeźnica,
10.07 - Inauguracja cyklu „Lato w mieście", Kostrzyńskie Centrum Kultury,
10.07 - Bluesowe noce, Piekarnia Cichej Kobiety, Zielona Góra,
12.07 - Koncert plenerowy przed filharmonią, Orkiestra Dęta Zastal, Zielona Góra
18-23.07 - 18. Solanin Film Festiwal, Nowa Sól,
19.07 - Niedziela z folklorem, Kostrzyńskie Centrum Kultury, Kostrzyn nad Odrą,
1.08 - Jarmark Joannitów, Łagów,
20-23.08 - Festiwal „Rzeki Literatury 2026", Lubuskie,
4.09 - Otwarcie „Salonu jesiennego", BWA Zielona Góra.
5-13.09 - Dni Zielonej Góry „Winobranie", Zielona Góra,
2-4.10 - Królewski Festiwal Muzyki, Wschowa.
JERRY

SŁUBICE

FOT. FANPAGE NATALII ZASTĘPY

Dziś i jutro odbędzie się „Miejskie Święto Hanzy". Przy lodowisku pojawią się zespoły oraz soliści, m.in.: „Bohema", „Roxie", „Malik Montana", „Borken", „Lukas W", „Matthio", Natalia Zastępa (na zdjęciu, finalistka The Voice Kids), „Modelki", „Gretsh" czy „Max Tesher". W niedzielę ruszy zaś cykl „Letnie kino plenerowe", który potrwa aż do czwartku. Wstęp wolny. JERRY

Weekend z folklorem z różnych stron świata

Jarosław Wnorowski
LUBUSKIE

W wielu miastach i miasteczkach w naszym regionie aż do niedzieli poznawać będziemy „Oblicza tradycji" podczas Międzynarodowego Festiwalu Folkloru.

Wydarzenie w obecnym wydaniu jest kontynuacją festiwali organizowanych w Zielonej Górze od 1964 roku. Dotychczas posiadał formułę konkursu, w którym udział brały zespoły dziecięce, dorosłe i wielopokoleniowe, prezentujące autentyczny lub artystycznie opracowany rodzimy folklor. Występy były oceniane przez specjalnie powołaną radę artystyczną, która nagradzała najlepsze prezentacje. W tym roku zaszła pewna zmiana organizacyjna, a mianowicie zrezygnowano z rywalizacji, stawiając na formułę przeglądu. Zachowano jednak popularne głosowanie na honorową nagrodę publiczności. Na lubuskich scenach zaprezentują się zespoły z Polski (Lubuski Zespół Pieśni i Tańca, Kaszubski Zespół Regionalny „Koleczkowianie", Dąbrowszczanka, Mali Siekieracy oraz Kapela „Sokoły"), Grecji (z miasta Chania na Krecie), Kolumbii, Czech oraz z Cypru Północnego.
Wszystko rozpocznie się dziś o godz. 16.30 w urokliwym amfiteatrze w Łagowie, usytuowanym na podzamczu, pomiędzy dwoma jeziorami. Uczestnicy zaprezentują swoje tańce, śpiewy, tradycyjne stroje oraz często oryginalne instrumenty. W sobotę festiwal przeniesie się na południe województwa, bo do Szprotawy. Tam na tzw. Błoniach Szprotawskich odbędą się koncerty. Gospodarzem tego wieczoru będzie m.in. Lubuski Zespół Pieśni i Tańca, który wykona m.in. „Suitę lubuską", „Tańce lubuskie", ale również i „Tańce dolnośląskie" czy „Wiązankę ludową" z grupą śpiewaczą.

FOT. JAROSŁAW WNOROWSKI

W Łagowie, Szprotawie, Kalsku i innych miejscowościach swój kunszt pokażą zespoły folklorystyczne

Wcześniej, bo do południa tego dnia, zespoły rozjadą się do miejscowości partnerskich, którymi są: Dąbie, Bojadła, Kolsko, Nowe Miasteczko, Szczaniec, Szprotawa. Tam w placówkach edukacyjnych zagrają koncerty połączone z animacjami, nauką tańca, prezentacją strojów i instrumentów.
W niedzielę dodatkową atrakcją będzie parada motocyklowa „Folko Libre". Start nastąpi w Sulechowie o godz. 11.30, a meta będzie w parku Lubuskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Kalsku. Tam też, o godz. 12, rozpocznie się koncert galowy: „Oblicza tradycji - Dźwięki i smaki świata", który zakończy się wspólnym odśpiewaniem w ojczystych językach uczestników utworu „Auld lang syne", czyli „Ogniska już dogasa blask". Podczas koncertów w Łagowie, Szprotawie i Kalsku przewidziano liczne warsztaty, animacje taneczne oraz stoiska z regionalnymi przysmakami. Wstępy wolne.

WYBIERZ SIĘ

KOSTRZYN NAD ODRĄ

Wirtualny mundial

W czwartek (9.07) w „Kinie za Rogiem", we współpracy z Kostrzyńskim Centrum Kultury odbędzie się 3. Turniej Gier Wideo (PS4) „FIFA 23 na wielkim ekranie". To wydarzenie skierowane do wielbicieli piłkarskich emocji, kochających rywalizację i grę na konsoli. Wirtualne mecze rozgrywane będą na wielkim kinowym ekranie, co gwarantuje wyjątkowe sportowe emocje i niezapomnianą atmosferę. Turniej zostanie rozegrany w formule pucharowej. Przed rozpoczęciem zawodów uczestnikom zostaną wylosowane reprezentacje narodowe, a rozgrywki prowadzone będą w trybie mundialu. Każdy mecz będzie składał się z dwóch połówek po 3 minuty. W przypadku remisu rozegrana zostanie dogrywka, a jeśli będzie to konieczne - rzuty karne. Liczba uczestników to maksymalnie 16 osób. Udział mogą wziąć osoby, które ukończyły 7 lat, lecz ci poniżej 15. roku życia - wyłącznie pod opieką dorosłego. Wstęp płatny (symboliczne wpisowe). JERRY

OCHLA

Ginące zawody

FOT. JACEK KATOS

Jutro o godz. 11, Muzeum Etnograficzne organizuje spacer szlakiem ginących zawodów - opowieść o ludziach, ich pracy i umiejętnościach, które przez wieki były nieodłączną częścią codziennego życia. Uczestnicy odwiedzą zakład szewski rodziny Śliwów z Ziemi Babimojskiej, XVIII-wieczną kuźnię, domowy warsztat tkacki, a także przyjrzą się pozostałym sprzętom zgromadzonym w muzealnych chatach. Zbiórka przy kasie muzeum, dokąd podejdzie opiekun muzealny. Obowiązuje bilet wstępu, natomiast usługa przewodnika jest bezpłatna. JERRY

KROSNO ODRZAŃSKIE

Uwodzicielskie bąbelki

Od dziś do niedzieli w sąsiedztwie Parku Tysiąclecia (ul. Czarnieckiego) i promenady odrzańskiej odbędzie się jubileuszowa - piąta edycja Festiwal Polskich Win Musujących. Wydarzenie promuje rozwój lokalnego winiarstwa i wspiera producentów z regionu. Winiarze będą obecni w specjalnych domkach winiarskich, które w piątek będą otwarte w godz. 16-24. O godz. 18 Katarzyna Korzeń wygłosi prelekcję „Jak uwodzą nas bąbelki", zaś po niej, na scenie zaprezentuje się Edyta Zazula. W sobotę festiwal ruszy już od godz. 12. Nie obędzie się bez licznych degustacji, a sceniczny wieczór opanują artyści wykonujący piosenkę francuską (Dagmara Korona - śpiew, Dariusz Cetner - fortepian i Janusz Lewandowski kontrabas oraz Francois Martineau - wokal). W niedzielę wydarzenie potrwa od 12 do 17, a jedną z atrakcji będzie tzw. „Sparkling Yoga". Udział wolny, a na degustacje obowiązują wcześniejsze zapisy. JERRY

eprasa.pl 7650a3d8f2

Dzidżeje, Chopin, moda, kino letnie

W północnej stolicy województwa posłuchamy Chopina i spotkamy się z Anną Seniuk . W Zielonej Górze ruszają seanse w kinie plenerowym, będzie letnie party i bajka dla dzieci.

Jarosław Wnorowski

Już dziś o godz. 12, w Teatrze Osterwy w Gorzowie, w ramach Sceny Letniej, Teatr „Małe Mi" wystawi sztukę „Kalosze szczęścia". To opowieść o tym, że szczęście nie wynika z posiadania coraz większej liczby rzeczy, lecz z tego, w jaki sposób patrzymy na codzienność. Interaktywna forma przedstawienia, autorski scenariusz, barwna scenografia i muzyka sprawiają, że widzowie wyruszają w niezwykłą podróż razem z lalkowymi bohaterami. Wystąpią Sława Tarkowska oraz Wojciech Schabowski. Również dziś, ale wieczorem, od godz. 20, w Wartowni (Wał Okrężny) w Gorzowie, do zabawy zachęci DJ Quiz, związany ze sceną klubową i eventową od 26 lat. Znany jest z energetycznych setów łączących dance, house i trance, w których chętnie sięga po klasyki lat 90. i wczesnych 2000. Jego występy to mieszanka nowoczesnych brzmień i nostalgicznych hitów, często podanych w autorskich remiksach. Z kolei jutro, w Wartowni, od 20 zaprezentuje się DJ Quicksilver (Orhan Terzi). To mieszkający w Niemczech producent muzyczny pochodzenia tureckiego. Jego najbardziej znane utwory to „Bellissima", „Free", „I Have a Dream" i „Planet Love". Nie lada wrażeń dostarczy natomiast, w sobotę o 20:30 w Teatrze Osterwy, gwiazda wieczoru - Anna Seniuk, w spektaklu „Księga Ziół (I nie tylko...) - czyli stand-up na siedząco". Powstał on z inicjatywy aktorki i stanowi w pełni autorską wypowiedź sceniczną - osobistą opowieść o drodze artystycznej oraz życiowych doświadczeniach. Dzień później, w tym samym miejscu i także o 20:30, Aneta Teodorczuk zaprezentuje „Męski punkt widzenia". To recital, w którym aktorka sięga po repertuar tradycyjnie wykonywany przez mężczyzn. W programie znalazły się utwory znane i cenione, takie jak „Bądź moim natchnieniem", „Biała flaga", „Tango desperado" czy „Ogrzej mnie". Wcześniej, bo o 16, na skwerze przy Filharmonii Gorzowskiej, w ramach „Pikników Chopinowskich" odbędą się animacje dla dzieci, zaś o 17 na fortepianie zagra Michał Oleszak z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego „Con Amabile" w składzie: Daria Krzysztoń-Baran - skrzypce, Małgorzata Wójcik - skrzypce, Joanna Głąb - altówka, Agnieszka Lasek - wiolonczela, Mateusz Rzytka - kontrabas. Przy okazji inauguracyjnego koncertu odbędzie się pokaz mody Natalii Ślizowskiej. Dziesięć modelek przedstawi kolekcję „Modern Chopin Vision".

FOT. ANNA ROSIAK/POLSKA PRESS

Anna Seniuk zaskoczy w Gorzowie rolą w... stand-upie na siedząco

- Stosowałam ubiory takie, jakie nosił Chopin - fraki, surduty, koszule. Przetworzyłam je na modę damską - mówi projektantka mody. - To nie jest odwzorowanie tamtej epoki, tylko moje interpretacje -dodaje.

Z kolei w Zielonej Górze wystartował tegoroczny cykl „Lato Muz Wszelakich". Dziś o godz. 11 i 17, na placu Teatralnym, Beata i Artur Beling, Krystian Machalica oraz Ludwik Schiller wykonają bajkę „Smocze prawo". To pełne humoru i emocji przedstawienie łączy teatr żywego planu z animowanymi formami i angażuje publiczność. O 21, w Cafe Noir rozpocznie się Disco lat 70-90 z DJ-em Gwizdkiem, a późnym wieczorem, bo o 21:30 w parku pałacu w Starym Kisielinie wystartuje seans kina familijnego „Szybcy i sprytni". W środę (8.07) o godz. 18, na placu Teatralnym, w ramach „Sceny młodych" zaprezentuje się zespół „Ciężko będzie", zaś o godz. 20, w tym samym miejscu ruszy „Letnie party". Wstęp wolny.

AUTOPROMOCJA 0011547254

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

KIEDYŚ LECIAŁY TU HITY, A TERAZ... POLECĄ DESKI

Występowały tu największe gwiazdy, dostarczając wielu pięknych przeżyć. Wirował świat folkloru. Rozśmieszali nas kabareciarze. Trudno wyobrazić sobie Zieloną Górę bez amfiteatru. Mieszkańcy mają wiele wspomnień z nim związanych. I z nadzieją patrzą, co dalej będzie się tu działo. Czekają na powrót festiwali.

Leszek Kalinowski

Zielona Góra zawsze była rozśpiewana, taneczna. Mieszkańcy chcieli się bawić i korzystać z życia. Tak było przed wielu, wielu laty. Świadczą o tym miejsca, które powstawały w mieście, liczącym wówczas 20 czy 25 tysięcy mieszkańców. Nie brakowało restauracji z estradami, sal koncertowych, plenerowych scen i placów, gdzie odbywały się tańce. Zielonogórzanie lubili spędzać czas na wspólnej zabawie.

Nic więc dziwnego, że w parku na Wzgórzach Piastowskich pod koniec XIX wieku powstał „Teatr leśny" (Waldtheater). Jak opisuje go historyk i regionalista dr Grzegorz Biszczanik, wykonali go mieszkańcy. Wśród drzew znajdowała się scena, ułożona z kamieni w kształcie koła, były też drewniane ławki. Widownia liczyła kilkaset miejsc. Teren otoczony był murem z kamienia.

FOT. TOMASZ GAWAŁKIEWICZ

Maryla Rodowicz na zielonogórskiej scenie

Bo hala była za mała

Jak wspominał przed laty pionier Zielonej Góry Remigiusz Jankowski - zaraz po wojnie wszyscy byli spragnieni zabawy, wspólnego, beztroskiego spędzania czasu. Nie trzeba było okazji, by się spotkać, zatańczyć, pośpiewać. Mieszkańcy bawili się zwykle w plenerze, w centrum miasta. Szczególnie podczas świąt takich jak Winobranie. Ale nie tylko. Szczególne miejsce zajął „Teatr leśny". Był położony daleko od zabudowy, więc nikomu nie przeszkadzała głośna muzyka ze sceny. Organizowano tam festyny, koncerty... Przyjemnie było posłuchać znanych piosenek wśród zieleni.

Regionalista Tomasz Czyżniewski także wiele razy podkreślał znaczenie tego miejsca. „Teatr leśny" w niezmienionej postaci przetrwał do końca lat 60. Wielu mieszkańców wspominało go przez kolejne lata, bo miał swój urok i klimat. Ale wszyscy też czekali na nowe, bo na jego miejscu miał powstać amfiteatr. Nowoczesny i taki, którego nie byłoby wstyd pokazywać w telewizji. Oczywiście główny powodem było to, że odbywający się już wówczas Festiwal Piosenki Radzieckiej organizowano w małych salach, z małą sceną (m.in. w nieistniejącej już dziś Hali Ludowej przy ulicy Wrocławskiej). Impreza potrzebowała większej przestrzeni. Ba, mówiono nawet, że ze względu na kiepskie warunki festiwal może być przeniesiony do innego miasta. Stąd szybka decyzja o wybudowaniu amfiteatru, właśnie na miejscu „Teatru leśnego". Za projekt odpowiadał Zbigniew Kmiecik. Prace budowlane rozpoczęły się w 1970 roku. Piach przywożono na Wzgórza Piastowskie z Ochli, gdzie powstawało miejskie kąpielisko.

Gazeta opisywała budowę

Cześć prac wykonywano w ramach czynu społecznego. Nie zawsze wszystko szło jak trzeba. Dlatego „Gazeta Lubuska" (wtedy „Gazeta Zielonogórska") apelowała o większe zaangażowanie, by zdążyć z terminami.

W kwietniu 1973 roku Kazimierz Różalski pisał w „Gazecie", że wiele udało się już zrobić np. „ukształtowano profil widowni, zamontowano postumenty do ławek na widowni, która ma liczyć 4,5 tysiąca miejsc (a jeśli będzie potrzeba to amfiteatr pomieści i 5 tysięcy osób). Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji wykonało odwodnienie. Spółdzielnia „Elektrotechniczna" ustawia słupki lamp oświetleniowych, Rejonowy Urząd Telekomunikacyjny instaluje urządzenia radiofoniczne, Przedsiębiorstwo Remontowo - Budowlane Gospodarki Komunalnej zakłada instalację wodociągową, Miejski Zarząd Dróg i Mostów asfaltuje alejki parkowe wokół amfiteatru. Komunalne Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych przystępuje w najbliższych dniach do zagospodarowania zaplecza — wykonania parkingu na 100 pojazdów oraz drogi dojazdowej i dojścia dla pieszych. Zwozi się materiał na budowę dachu nad sceną amfiteatru. Elementy konstrukcji dachowej wykonuje Zastal, Zgrzeblarki, głogowska „Famaba" i żagański „Polar".

W budowie amfiteatru pomagali żołnierze, studenci Wyższej Szkoły Inżynierskiej, a także mieszkańcy miasta, którzy chcieli mieć swój wkład w oddanie na czas miejsca, które miało stać się dla wielu z nich ważnym.

- Może dziś to jest źle odbierane. Ale my wtedy wierzyliśmy, że robimy coś dobrego. Że dzięki temu zmienia się nasze miasto na lepsze i wszyscy na tym skorzystamy. Czyny społeczne były w tamtych czasach czymś normalnym. Wielu z nas nie trzeba było namawiać, by w nich uczestniczyć - mówi Stanisław Bawołowski z Zielonej Góry. - Nie wszystko, co było dawniej, było złe. A czasem odnoszę takie wrażenie, gdy tamte czasy oceniają współcześni młodzi historycy. My inaczej to wtedy widzieliśmy. Byliśmy młodzi, zaangażowani, pełni wiary w lepsze jutro. Chcieliśmy się cieszyć z życia, czerpać z niego garściami. Chcieliśmy spędzać czas z innymi, bez wcześniejszych zapowiedzi, umawiania się jak to jest dzisiaj. Może dlatego też tak chętnie bawiliśmy się na festiwalach i innych wydarzeniach, z których dziś wielu się śmieje.

Fruwały krzesła i stojaki

Zadanie związane z amfiteatrem udało się wykonać na czas. Jak wówczas podawała prasa - kosztował 15 milionów złotych. Mieszkańcom obiekt się podobał. IX Festiwal Piosenki Radzieckiej odbył się więc już w nowym miejscu. Choć oczywiście niedoróbek nie brakowało. Dach nie został do końca wykonany, gniazdka nie działały, na scenie stała woda, jak to w czerwcu, brakowało krzeseł dla orkiestry, ale kto tam by się przejmował... Jednak trzeba się było przejąć, bo podczas pierwszego koncertu nad amfiteatrem rozszalała się burza. I scenografia leciała w powietrze...

To wydarzenie wspominano teraz, gdy w ubiegłą niedzielę Zielonogórski Ośrodek Kultury zorganizował akcję Foto Day w amfiteatrze i wyłożył Księgę Pamięci. Zielonogórzanie chętnie się wpisywali.

Halina Maszna napisała, że w 1973 roku jej córka Ania, wówczas uczennica szkoły podstawowej, była jedną z dziewczynek, które wręczały kwiaty wykonawcom Festiwalu Piosenki Radzieckiej.

- Śpiewał na scenie Adam Zwierz, kiedy skończył, córka podeszła do niego. A w tym momencie ogromny wiatr na scenie stworzył niebezpieczeństwo, scenografia się przewróciła. Fruwały stojaki na nuty i krzesła - wspomina Zielonogórzanka. - Popłoch. Wszyscy rzucili się za kulisy. Byłam przerażona, że zadepczą mi moje dziecko. Wbiegłam na scenę, a gdy dotarłam za kulisy, zobaczyłam, że pan Adam Zwierz trzyma za rękę, wtuloną w niego ze strachu, moją córkę.

Później amfiteatr przebudowywano. W 1987 roku otrzymał imię Anny German. Artystka wiele razy występowała w Zielonej Górze.

- Bardzo się ucieszyłam, kiedy tak nazwano nasz amfiteatr. Anię znałam ze studiów, bo też kończyłam geologię na Uniwersytecie Wrocławskim - wspomina Irena Wolska, a jej koleżanka Wanda Grudzis przypomina: - Zielona Góra kocha Annę German. Bo niedaleko amfiteatru mamy rondo jej imienia. No i w naszym amfiteatrze odbywały się Festiwale im. Anny German „Tańczące Eurydyki". Jakaż byłam wzruszona, gdy jeden z nich prowadziła Joanna Moro, która w serialu pt. „Anna German" zagrała artystkę. Jakie były piękne wykonania jej piosenek?! Justyna Steczkowska, Hanna Banaszak, Edyta Górniak, Anna Maria Jopek, Stanisława Celińska, Urszula... długo by można

eprasa.pl 7650a3d8f2

FOT. MARIUSZ KAPAŁA

Justyna Steczkowka na Festiwalu Tańczące Eurydyki

FOT. MICHAŁ KORN

„To ostatnia niedziela... Foto Day w Amfiteatrze"

wymieniać. Dyrektorem festiwalu był m.in. Piotr Rubik.

To była świetna zabawa

Iwona Rzeszutko wspomina amfiteatr z czasów, gdy w Wyższej Szkole Pedagogicznej studiowała filologię rosyjską.

- To było pod koniec lat 80. Studenci innych kierunków zazdrościli nam dwóch rzeczy. Że na pół roku wyjeżdżaliśmy do Moskwy. Tam wszyscy byli zachwyceni naszym poziomem. Wracaliśmy z samymi piątkami w indeksach. No i oczywiście ze złotem albo kolorowym telewizorem - śmieje się pani Iwona. - Drugą rzeczą był udział w Festiwalu Piosenki Radzieckiej. Byliśmy w centrum. Wracaliśmy do akademika pełni wspaniałych przeżyć artystycznych i nie tylko. Nikt nie myślał wtedy o polityce, zresztą to była jeszcze komuna. Dla nas była to świetna zabawa i okazja do poznania kultury rosyjskiej z innej strony.

Urszula Pałaczyńska także dobrze pamięta tamte festiwale. I późniejsze gorące debaty, gdy postanowiono znów wrócić do festiwalowej tradycji i organizować Festiwal Piosenki Rosyjskiej.

- Byłam jak najbardziej za, choć przeciwników nie brakowało. Ale przecież to była inna rzeczywistość, Polska była inna. I nawet prawicy zależało wówczas, by poprawić stosunki z Rosją - zauważa pani Ula. - Festiwal był do tego dobrą okazją. Ba, mówiło się nawet, i pisało w gazetach, że Putin miał wystąpić w amfiteatrze. Potem, że wyśle nagranie, jak śpiewa. Skończyło się na niczym. Ale festiwale cieszyły się ogromnym zainteresowaniem, amfiteatr pękał w szwach. Ze wszystkimi sąsiadkami biegałyśmy, by zobaczyć jak śpiewa Janusz Radek czy Anna Dereszowska, jak prowadzą go np. Marzena Rogalska i Mateusz Damięcki. To było dla nas artystyczne wydarzenie. Wszystko zmieniło się, gdy Rosja zajęła Krym...

Nie brakowało gwiazd

Teresa Fudalska dodaje, że przecież to tutaj debiutowali m.in. Małgorzata Ostrowska, Majka Jeżowska, Urszula, Michał Bajor.

- Co jakiś czas włączam sobie na YouTube teledysk z Michałem Bajorem, jak w 1973 roku śpiewał w Zielonej Górze piosenkę „Siemionowna". Rewelacja! Przy okazji można zobaczyć, jak wtedy wyglądał nasz ratusz, deptak. No i jaka była moda - zauważa pani Teresa. - I jak młody wówczas piosenkarz już zachwycał swoim talentem.

Na festiwalach występowali m.in. Mieczysław Fogg, Anna German, Irena Santor, Alicja Majewska, Irena Jarocka, Maryla Rodowicz, Urszula Sipińska, Grażyna Łobaszewska, Zdzisława Sośnicka, Łucja Prus, Izabela Trojanowska, Czerwone Gitary, Budka Suflera, Janusz Panasewicz, ale także gwiazdy estrady Związku Radzieckiego jak Ałła Pugaczowa czy Żanna Biczewska. Nie brakowało ich także na Festiwalach Piosenki Rosyjskiej, gdzie wystąpił np. Dima Biłan, zwycięzca Konkursu Piosenki Eurowizji z 2008 roku. A samowary zdobywali znani i lubiani, jak choćby Michał Szpak czy Natalia Sikora.

- Nic więc dziwnego, że te wydarzenia przywołują miłe wspomnienia. Była radość i wiara w nas, że wszystko będzie dobrze. Nikt z nas nie przypuszczał, że dożyje takich złych czasów, jakie mamy dziś na świecie - podkreśla Zofia Kałużna.

To ostatnia niedziela...

Zielonogórski amfiteatr zmieniał swój wygląd. 20 lat temu został wykonany generalny remont sceny. W 2022 obiekt został wpisany do ewidencji zabytków województwa lubuskiego.

- Wiele się tu działo przez te wszystkie lata. Pamiętam np. Festiwale Zjednoczonej Europy. Moim zdaniem, poziom był niższy niż w przypadku Festiwali Piosenki Rosyjskiej. Realizacja uboższa. Bywałam tu też na Festiwalu Pokój i Dobro, organizowanym przez franciszkanów - wspomina Halina Jagnyś. - Nie zapomnę występu Eleni i rozmowy z nią. Miała ona dla mnie ogromne znaczenie, bo przechodziłam kryzys. A ona była przecież po stracie swojej córki Afrodyty, którą zabił narzeczony.

Nie tylko pani Halina nie wyobrażała sobie, by nie wziąć udziału w imprezie pod hasłem „To ostatnia niedziela... Foto Day w Amfiteatrze". To była ostatnia szansa, by ocalić od zapomnienia stary widok tego miejsca. Na pamiątkę dla potomnych. I dla siebie samych. Można też było zapisać się na kawałek deski z widowni ze specjalnym certyfikatem, zabrać pamiątkowe pocztówki, zobaczyć na telebimach najważniejsze wydarzenia z amfiteatru, wziąć udział w konkursach i rozpoznać dżingle z różnych festiwali, zobaczyć wizualizację, jak to miejsce się zmieni. I wpisać się do Pamiątkowej Księgi...

Oto jeszcze kilka przykładów tego, co napisali w niej Zielonogórzanie.

Danuta: - Dobrze pamiętam rok 1973. Pracowałam wtedy w Lumelu. Wszyscy chcieliśmy, by powstał amfiteatr, dlatego pomagaliśmy przy jego budowie. Ja, mój mąż, moi rodzice i wielu znajomych. Cieszę się, że miejsce to znów zacznie żyć.

Iga: W amfiteatrze pracowała moja babcia i dziadek. Na koncerty zabierał mnie zwykle mój tata. To były cudowne chwile. Potem przychodziłam tu na randki. Ile tu łez wylałam? Ze szczęścia, ale i z bólu.

Ewa: W latach 80. koncerty w zielonogórskim amfiteatrze dodawały koloru tym trudnym, szarym czasom.

Monika: Wychowałam się na osiedlu Piastowskim, amfiteatr towarzyszył mi cały czas. Przeżyłam tam piękne chwile. Nie zapomnę nigdy koncertów, których gwiazdami byli: Limahl, Chris de Burgh, Brainstorm, Cesaria Evora, Kate Ryan czy też Maanam, Bajm, Ewa Bem, Stan Borys, Krzysztof Krawczyk...

Agata: Zespół Mazowsze i amfiteatr. To połączenie, które zapełniło moje wspomnienia do końca życia.

Piotrek: Jako dzieciak przychodziłem tu na Festiwale Piosenki Radzieckiej, później jako starszy też na Festiwale Piosenki Rosyjskiej. Raz na widownię, raz pod płot. Przychodziłem też z kolegami na koncerty punkowe. Na „Armii" ochrona ściągała nas z platform dla nagłośnienia. Na „Dezertera" wbiliśmy dzięki drobnym wciśniętym ochronie. A w czasie kampanii prezydenckiej jako nieformalna grupa anarchistów rzucaliśmy pomidorami w kandydata (...). Nie wstydzę się tego. Wierzyłem w to, co robiliśmy. No może trochę - żaden pomidor nie trafił.

Anita: Nie pamiętam wszystkich koncertów, jakie zaliczyłam będąc małym dzieckiem. Ale nie zapomnę, jak ryczałam ze strachu na koncercie zespołu Bajm. Potem się już cieszyłam. A dziś? Pracuję w... amfiteatrze. Czego chcieć więcej.

Iwona: Wiele razy zasiadałam tu na widowni, z moimi przyjaciółmi, rodziną, ale sama też występowałam na scenie. Jako mała dziewczynka wręczałam kwiaty wykonawcom, którzy walczyli o Samowary. Tańczyłam też podczas festiwalu folkloru. Dla mnie to miejsce to magia.

Dorota: Jako dziecko chodziłam tu na Festiwal Piosenki Radzieckiej „Barwy Przyjaźni", w szkole średniej sama występowałam na tej scenie. W końcu wróciłam tu w czerwonym polarze jako ratownik medyczny, by pilnować bezpieczeństwa zza kulis.

Józef i Krystyna Gosek też mają wiele wspomnień z amfiteatru. Teraz przyszli tutaj ze zdjęciem z 1960 roku.

- Wspomnienia, sentyment, miejsce niezapomnianych koncertów - podkreślają.

Nie mogło też zabraknąć w amfiteatrze Zofii i Zbigniewa Banaszaków.

- Zbyszek śpiewał w kolejnych edycjach Festiwalu Piosenki Radzieckiej. Niestety do Samowaru nigdy nie dotarł - zauważa z uśmiechem pani Zofia. - Dziękujemy za piękny dzień!

Agata Miedzińska, dyrektorka ZOK-u, zachęca wszystkich, by nadal dzielili się swoimi wspomnieniami.

- Księga Pamięci wciąż czeka na Państwa w naszej siedzibie. Będziemy ją zabierać też na ważne wydarzenia Lata Muz Wszelakich, by umożliwić Państwu wpisy - obiecuje.

A może festiwal winiarski?

Miasto podpisało już w grudniu ub. r. umowę z wykonawcą - firmą Budimex - na wykonanie widowni i zadaszenia amfiteatru..

- Teraz rozpoczną się prace rozbiórkowe. Wywiezione stąd zostanie także skarpa, która jest niestabilna. To wszystko trzeba zutylizować - mówi prezydent Marcin Pabierowski. - To będzie trudna inwestycja, dlatego potrwa do 2028 roku. Na tym etapie mamy projekt wykonany (bo wcześniej była tylko koncepcja), uzgodnione wszystkie szczegóły. Wydłużyliśmy w porównaniu do pierwotnych planów zadaszenie nad siedzibę ZOK-u, który przeszedł rewitalizację. Będzie też restauracja w skarpie z widokiem na Piast Polanę, by mieszkańcy i ich goście mogli korzystać także z oferty gastronomicznej.

Inwestycja ma kosztować ponad 75 milionów złotych, z czego sam kontrakt z wykonawcą opiewa na ponad 56 mln zł. Dofinansowanie z Funduszy Europejskich wyniosło 35 mln zł, a 6 mln zł pochodzi z budżetu państwa.

Do Zielonej Góry mają wrócić festiwale. Myśli się m.in. o winiarskim.

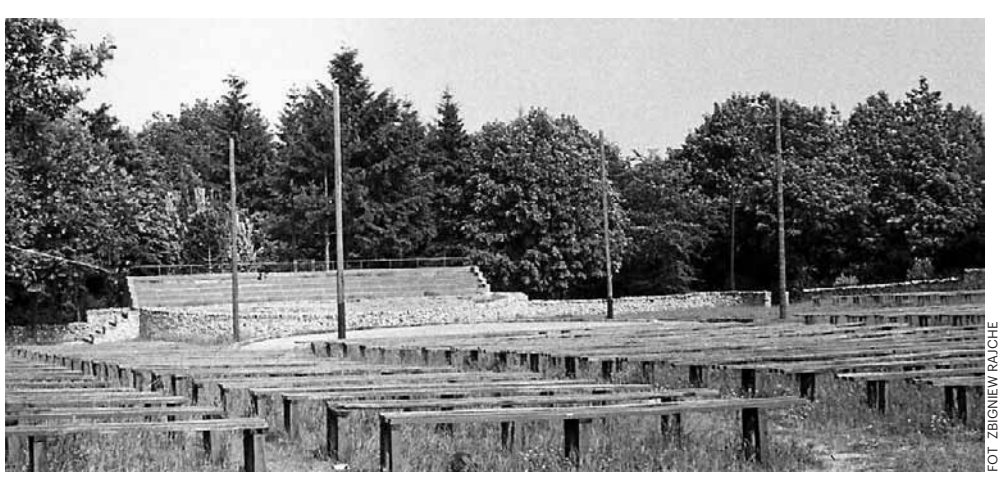

FOT. ZBIGNIEW RAJCHE

„Teatr leśny" w całej okazałości

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

FOT. STOWARZYSZENIE NASZE DZIECI

FOT. STOWARZYSZENIE NASZE DZIECI

NASZE DZIECI

- Trudno sobie wyobrazić, że w XXI wieku, 12-latek nigdy w życiu nie jadł waty cukrowej, lodów, albo nie widział morza. A do nas trafiają takie właśnie dzieciaki - mówi Justyna Jóźwiak-Piszczek, prezes stowarzyszenia „Nasze Dzieci", beneficjenta akcji GL „Pociąg Marzeń".

FOT. STOWARZYSZENIE NASZE DZIECI

Stowarzyszenie stworzyli w 2000 r. pracownicy Pogotowia Opiekuńczego w Zielonej Górze z myślą o swoich podopiecznych i wychowankach. Do dziś wspiera dzieci i młodzież z lokalnych Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych.

- Organizujemy festyny z okazji Dnia Dziecka, współfinansujemy ferie i wakacje, zarówno w mieście, jak i podczas wyjazdów, wypady na kajaki, zwiedzanie ciekawych miejsc. Fundujemy stypendia naukowe, kieszonkowe na wyjazdy, prezenty z okazji „osiemnastek", komunii czy usamodzielnienia. Zapewniamy wsparcie materialne, opłacamy naukę języków obcych czy kursy na prawo jazdy - mówi prezes stowarzyszenia.

- To co powiem może wydać się banalne, ale naprawdę uśmiechy dzieci są najwspanialszą odpowiedzią na to co robimy. Zachwyt 14-latka, który pierwszy raz w życiu zobaczył morze, te wszystkie muszelki i inne cuda, chwyta za serce nawet po piętnastu latach doświadczeń w tej pracy - opowiada.

- Nasze dzieci nie mają łatwego startu i nawet takie prozaiczne rzeczy, jak wypad do papugarni czy na kajaki, budzą w nich mnóstwo radości. Fajnie się patrzy, gdy po raz pierwszy w życiu przeżywają te doświadczenia. Potrafią to docenić i są za to naprawdę bardzo wdzięczne - zapewnia.

„Pociąg Marzeń" to akcja Polskiej Press Grupy, dzięki której setki dzieci w całym kraju mogą wyjechać na wypoczynek. Nasz pociąg nie pojedzie bez wagoników – jak co roku, dołączają do niego firmy, którym nieobca jest idea mądrego pomagania. To przedsiębiorstwa, które rozumieją, że społeczna odpowiedzialność to nie tylko słowa w misji korporacyjnej, ale konkretne czyny. Każdy wagonik to dar serca – cegiełka przekazana na rzecz potrzebujących dzieci. Wagoniki z logotypami firm pojawiają się we wszystkich tytułach prasowych Polska Press Grupy oraz na portalach internetowych, docierając do milionów czytelników w całej Polsce. To forma podziękowania, ale także zachęta dla innych przedsiębiorców, żeby dołączyli do grona firm, które nie przechodzą obojętnie obok potrzebujących. Ze stowarzyszeniem „Nasze Dzieci" współpracujemy po raz trzeci.

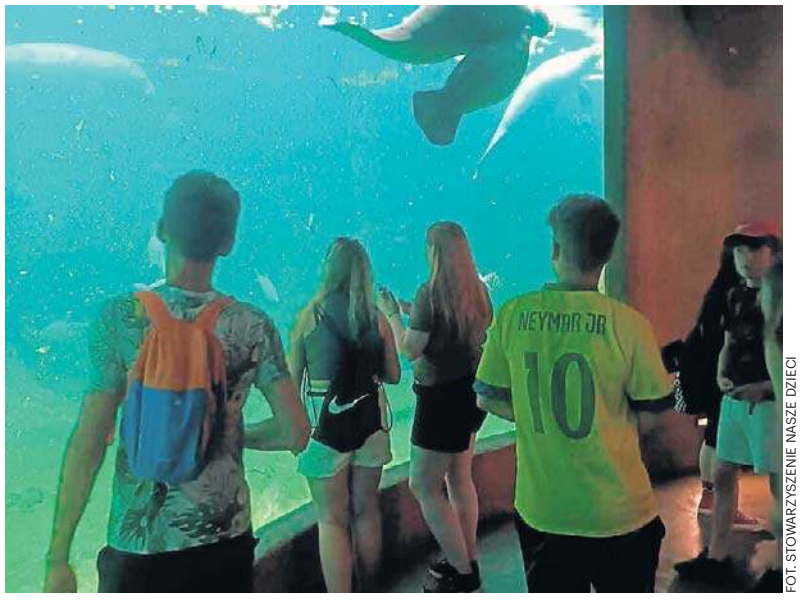

FOT. STOWARZYSZENIE NASZE DZIECI

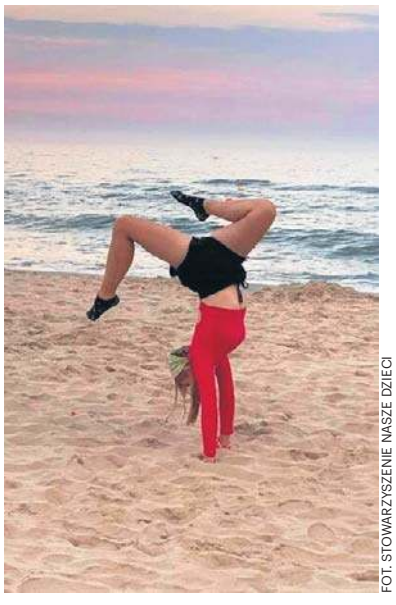

FOT. STOWARZYSZENIE NASZE DZIECI

FOT. STOWARZYSZENIE NASZE DZIECI

eprasa.pl 7650a3d8f2

ŻEGNAM LUBUSKIE. ZOSTAWIAM TU POŁOWĘ SERCA

Valentyna Ratovska przyszyła do redakcji GL, żeby dać ogłoszenie z podziękowaniami dla ludzi, których poznała w ciągu jedenastu lat pobytu województwie lubuskim. Była gotowa zapłacić, żeby wyrazić wdzięczność. Teraz wraca na Ukrainę.

Eliza Gniewek-Juszczak

Najpierw dziękuje tym, którzy zaangażowali się w pomoc, kiedy wybuchła wojna. - Za te miłe słowa, ratowanie dzieci, wszystko, co Polska zrobiła dla naszych ludzi. Nigdy tego nie zapomnimy - zapewnia, a kiedy to mówi, wzrusza się. - Życzę z całego serca zdrowia i spokoju w tym kraju. Tak się złożyło, że muszę wyjechać. Wyjeżdżam na wojnę. Wojna, to coś bardzo złego. Ludzie umierają. Lecą drony. Bardzo ciężko tam się żyje - mówi. W Kijowie mieszka jej starszy syn.

FOT. ELIZA GNIEWEK-JUSZCZAK

Wojna

- Przeczuwała pani wtedy, w 2022 r., że lada dzień wybuchnie wojna? - pytam. - Nic nie wiedzieliśmy. Żadnej informacji nie było. Jeszcze w niedzielę rozmawiałam ze starszym synem. W czwartek, 24 lutego obudziłam się rano, lubię rano wstać, i pomyślałam, że napiszę życzenia urodzinowe na Ukrainę do syna męża siostry. Nie zdążyłam. Mój młodszy syn, który pracował na Amazonie, przyleciał o godzinie 5.15 i powiedział: „Mama, wojna". Nie mogłam uwierzyć, no jak, no czemu? Potem dzwoni starszy syn i mówi: „Bomby lecą na Kijów". Popłakałam się. Zaraz chciałam wracać. Synowie mówili: „Po co? Co ty tam będziesz robić? Bądź tutaj i pracuj". Jestem rocznik 1959. Musiałam zostać - mówi.

Natychmiast włączyła się w pomoc dla rodaków.

- Barbara Łukomska i jej rodzina przywozili różne rzeczy. Zbieraliśmy od każdego, kto mógł coś dać, różne ubrania, od majtek do wszystkiego. Woziłam to do wolontariuszy, a oni dalej, do potrzebujących. Gdy mówiłam, co się dzieje w Ukrainie, wszyscy mi pomagali. Ktoś pieniążkami, inny produktami. Nikt nie mówił, że „to nie mój kraj" czy „nie moja strona walczy". Nigdy - zapewnia.

Nauka

Valentyna Ratovska przyjechała do wsi Klenica koło Sulechowa w 2015 roku. Opiekowała się panią Władzią.

- Poznałam jej córkę Joannę Berową, która otworzyła dla mnie Polskę. Nie znałam dobrze języka. Przynosiła mi książki, gazety. Zaciągnęła mnie do czytania po polsku. Rozumiała ukraiński, bo uczyła języka rosyjskiego. Dla niej to było łatwe, dla mnie nie - wspomina. Podkreśla, że mama pani Joanny była bardzo miłą osobą, a jej córka Ania, która jest aptekarką, bardzo jej pomagała, doradzała przy zakupie leków.

W 2017 roku w Zielonej Górze poznała Barbarę Łukomską i Grażynę Radosz-Szulc.

- Były dla mnie jak rodzone siostry. Mówiłam siostrze w Ukrainie, że poznałam kilka sióstr nie rodzonych, a jakby nabytych. Otworzyły swoje serca. Były dla mnie bardzo dobre. Pociągnęły mnie do szkoły policealnej. Zrobiłam dyplomy opiekuna medycznego i opiekuna dziecięcego. Już byłam w swoim wieku, ale udało się. W Centrum Kształcenia Ustawicznego i Praktycznego na Staszica w Zielonej Górze wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Jak było trudno z pisaniem, pomagali. Udało się skończyć - mówi skromnie, ale na dyplomie potwierdzającym kwalifikacje opiekuna medycznego, egzaminy zawodowe ma zdane na 79 procent.

- Dziękuję wszystkim, od dyrektora do każdej osoby, która prowadziła zajęcia. Życzę dużo zdrowia, miłych i przyjemnych dni, żeby nie było trudnych problemów, tylko żeby był spokój. Z całego serca dziękuję - podkreśla. Jeszcze mieszkając w Ukrainie, planowała iść na studia.

- Byłam bardzo chętna do takich nauk, jak matematyka i fizyka. Próbowałam się dostać na pedagogiczny instytut na fiz-mat. Pół punktu mi zabrakło. W kolejnym roku wciągnęła mnie praca i tak wyszło, że od tego odeszłam - wspomina.

Praca

Zanim przyjechała do Polski, na Ukrainie najpierw pracowała w różnych sklepach, potem została kadrową.

- Pracowałam z ludźmi. Musiałam każdemu dodać jakąś odrobinkę serca, pomóc, bo różne mieli problemy. Byłam też kasjerką, w tym czasie jak miliony były. Pamięta pani? U was też były. Pięć worków trzeba było liczyć. Nie myliłam się. Tylko jeden raz, troszeczkę było za dużo, jak przekazałam. Tam też dobrze mi w pracy było. Ukraińcy nie są źli ludzie. Ale jak to mówią, są ludzie i ludziska. Ale ja jakoś ich obchodziłam. Może to Pan Bóg mi pomagał. Mam też taki zawód, że mogę pracować w sekretariacie, nie wiem, jak to u was powiedzieć - mówi, mając na myśli pracownika administracyjnego.

W Polsce pracowała w opiece, stołówce, ale przede wszystkim opiekowała się starszymi osobami.

- Jak na opiekę biorę, to naprawdę starsze osoby. Kontaktuję z nimi. Lubię tę pracę. Oni mnie też lubili - mówi. Kiedy pytam, czy umierali, potwierdza. - Babcia Władzia w Klenicy. W Głogowie pan Bolesław. Był ciężko chory, leżący. Potem, jak przeprowadziłam się do Zielonej Góry - Helenka, Ksenia, Wandzia. Gdy masz 80-90 lat, to jest taki wiek, że jak się położysz, to albo się obudzisz, albo nie. Ale Ania żyje. Życzę jej dużo zdrowia. Jeszcze sobie radzi - mówi.

- Może jak Pan Bóg da, to wykorzystam nowe doświadczenia w Ukrainie. Mój syn mówi, że dużo ludzi tam potrzebuje opieki, nie ma opiekunów. Tylko wiek mam trochę taki... - urywa.

Odpoczynek

Kiedy dopytuję, czy miała przez te lata czas dla siebie, a jeśli tak, co lubiła robić, okazuje się, że lubi posłuchać operowych głosów.

- Zawsze miałam jakieś rozrywki. Koleżanki mi w tym pomagały. Byłyśmy na koncertach Mirosława Niewiadomskiego, Bartosza Kuczyka i 10 tenorów. Lubię taką muzykę. Sama trochę śpiewałam w chórze, teraz to chrypkę mam. Wychodziłyśmy też np. na lody. Daleko nie wyjeżdżałam. Nie miałam czasu. Lubię historię, trochę o niej czytam, znam. W ogóle lubię książki. Do tego ma tutaj dużo koleżanek. - Jestem rozmowna. Na przystanku z każdym mówię - śmieje się. - Nie wiem, czy to z góry Pan Bóg mi pomaga, ale nic złego mnie nie spotkało - dodaje.

Wiara

- Kiedyś w naszej wsi, ja, mój mąż, siostra i parę osób, zaczęliśmy budować ukraińską cerkiew prawosławną. Pomalutku, od 1993 roku przez dziesięć lat, budowaliśmy ją od dołu do góry. Przez siedem lat byłam tam w cerkwi sprzątaczką - siostrą. Zgodziłam się i na pewno Pan Bóg mnie wysłuchał, albo podziękował, że ja wtedy byłam trochę dla niego - mówi.

W Zielonej Górze poznała siostrę Janę.

- Jest z klasztoru św. Lizawiety. Pomagała mi, ja troszkę jej też, w różnych pracach - mówi. Na szyi ma medalik z Matką Bożą, który dostała od siostry elżbietanki, podobnie jak obrazek z Matką Bożą, który pojedzie z nią na Ukrainę.

- Chodziłam z panią Asią w Klenicy, co niedzielę na mszę. Tam był wielki kościół. Znam całą mszę po polsku. Ze wszystkimi moimi staruszkami modliłam się wieczorami - wspomina.

Ludzie

- W pamięci zostają dobrzy ludzie, jak rodzina Derów - Józef i Zofia oraz ich syn Andrzej, Danusia Szulc, Joanna Orchel. Dziękuję także pracownikom apteki na Zaciszu. Nie wiem, jak się nazywają, ale one mnie znały od początku. Były problemy z jakąś chorobą, to zawsze pomagały. Dziękuję mojej sąsiadce Marii i Władysławowi, rodzinie Joanny Orchel, Alicji Paruzel i naprawdę wszystkich ludziom, życzę bardzo dobrze. Taką Jolę poznałam. Nie wiem, czy jeszcze żyje, telefonu nie odbiera. Była bardzo miła, uczciwa. Rozmawiała ze mną. Była trochę młodsza od Władzi. Przez ten cały czas pobytu w Polsce nie miałam żadnego ucisku, żadnej kpiny od nikogo. Jeśli kogoś pominęłam, to przepraszam, wszystkim szczerze życzę spokoju, zdrowia na 100 lat, żeby żadna wojna nie przeszła na wasze granice - mówi. - Pół serduszka tu zostawiam w nadziei, że wszystko tam załatwię, jeszcze przyjadę. Ale jak potoczy się to życie, to kto wie kochana - dodaje.

Wdzięczność

- Płakała pani, jak wyjeżdżała z Ukrainy. Teraz też będzie pani płakać? - pytam.

- O jejku, ja już miałam kilka pożegnań z koleżankami. Co przyszłam, to wypłakałam się. I teraz nie mogę usiedzieć na spokojnie, ale to łzy radości i troszeczkę smutno, ale mam na telefonie trzysta numerów. Do kogo się nie zwróciłam, pomógł mi. Wszystkiego pani nie napisze, ale dziękuję, że mnie pani wysłuchała - mówi.

Valentyna Ratovska w Ukrainie mieszkała w mieście Równe. Jej mama urodziła się w 1934 w Polsce w województwie lubelskim. Dziadek ze strony ojca był w wojsku polskim. W nagrodę za służbę otrzymał czarnego konia.

- O kolegach, mówił tylko z dobrej strony. A ja teraz, kiedy wyjeżdżam, mówię żegnam Polskę i dziękuję z całego serca - podkreśla i pyta, czy to będzie dobre na tytuł. - Biorę swój telefon, nie likwiduję numeru, jeśli wrócę, napiszę - zapowiada.

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

„KTOŚ CHCE ŻYĆ JAK U MAMY? ZAPRASZAMY!

Są miejsca, do których jedzie się po to, żeby coś zobaczyć. I są takie, z których wyjeżdża się z myślą, że właśnie tak powinno wyglądać życie. Zdroisko, malowniczo położona wieś w gminie Kłodawa, należy do tej drugiej kategorii. Właśnie uznano ją za najpiękniejszą w województwie lubuskim. Postanowiliśmy sprawdzić, czym urzeka to niewielkie sołectwo.

Magdalena Marszałek

Do Zdroiska z Gorzowa można dojechać w kilkanaście minut. Ostatni odcinek trasy prowadzi przez rozległe kompleksy leśne. Droga wijąca się wśród drzew sprawia, że już sama podróż staje się zapowiedzią tego, co czeka na miejscu. To spokój, bliskość natury i krajobrazy, o których „mieszczuchy" mogą tylko pomarzyć.

Największym skarbem są mieszkańcy

W Zdroisku nikt się nie spieszy. Ktoś machnie ręką z roweru, ktoś zatrzyma się na krótką rozmowę. Trudno znaleźć mieszkańca, który nie znałby swoich sąsiadów. Jeszcze trudniej takiego, który nie angażowałby się w życie wsi. Od kilku dni ta spokojna miejscowość może szczycić się tytułem najpiękniejszej wsi województwa lubuskiego w kategorii sołectw liczących do trzystu mieszkańców. Nagroda? Dwadzieścia tysięcy złotych. Ale kiedy słucha się mieszkańców, szybko okazuje się, że dla nich wygrana wcale nie jest najważniejsza.

- Zdroisko? To jest wszystko! Jak ktoś chce mieszkać i żyć jak u mamy, to zapraszamy - śmieje się sołtys Szymon Łabuda, który doskonale pamięta poprzedni start w konkursie sprzed dziesięciu lat. Wówczas wieś zajęła trzecie miejsce. Dziś stanęła na najwyższym stopniu podium.

Już po kilku minutach można odnieść wrażenie, że mieszkańcy naprawdę się tutaj znają. Nie są sąsiadami tylko z adresu, ale z codziennego życia.

- Wszyscy się spotykamy, wszyscy się witamy. O to właśnie chodzi. Nie tak jak w blokach, gdzie ludzie mieszkają piętro nad piętrem i często nawet nie wiedzą, jak mają na imię sąsiedzi. U nas jest inaczej. Znamy się wszyscy, rozmawiamy ze sobą, pomagamy sobie, kiedy jest taka potrzeba. Dlatego tak dobrze się tutaj mieszka - opowiada pan Piotr.

FOT. PATRYK JODKO

Tegoroczne Spotkania Kulturowe przeniosły wieś w świat baśni

Mieszkańcy wspominają wspólne przygotowania do świątecznych kiermaszów, inni opowiadają o festynach, warsztatach czy spotkaniach organizowanych przez radę sołecką. Bo tu niemal każdy ma swoją rolę. Ktoś piecze ciasta, ktoś buduje dekoracje, ktoś szuka starych fotografii do wystaw. Najmocniej życie wsi bije w Izbie Tradycji Kulturowych. Dawna stodoła, pieczołowicie odrestaurowana przez mieszkańców, dziś jest jednocześnie świetlicą, niewielkim muzeum i miejscem spotkań.

- Ciągle mamy nowe pomysły i nie popadamy w rutynę. Mamy nasze tradycyjne spotkania kulturowe, podczas których poznajemy zwyczaje różnych narodów i regionów. Do każdego wydarzenia przygotowujemy się tygodniami, a czasem nawet miesiącami. Najpierw wspólnie wybieramy temat, później szukamy strojów, tworzymy dekoracje, kompletujemy rekwizyty i dopracowujemy każdy szczegół. Robimy to razem i zawsze już planujemy, co zorganizujemy następnego - opowiada pani Grażyna.

Najlepszym dowodem na to, ile serca mieszkańcy wkładają w organizację takich wydarzeń, były tegoroczne Spotkania Kulturowe, które odbyły się pod koniec czerwca. Tym razem Zdroisko przeniosło się do świata baśni. W Izbie Tradycji Kulturowych i jej otoczeniu pojawiły się bajkowe dekoracje, kolorowe stroje i postacie znane z opowieści, a uczestnicy wspólnie stworzyli wyjątkową atmosferę. Już teraz mieszkańcy szykują kolejną inicjatywę. Chcą wspólnie kibicować kolarzom przejeżdżającym przez wieś podczas najbliższego Tour de Pologne.

Od przemysłowej osady do oazy spokoju

Zdroisko zachwyca nie tylko ludźmi. Ma jeszcze jednego sprzymierzeńca, którym bez wątpienia jest natura. Wieś wtula się w lasy, a przez głęboki wąwóz płynie rzeka Santoczna. Zalesione zbocza, śpiew ptaków i cisza sprawiają, że trudno uwierzyć, że zaledwie kilkanaście minut jazdy stąd toczy się miejskie życie. To właśnie tutaj znajduje się rezerwat Buki Zdroiskie.

- Najbardziej podoba mi się właśnie ta przestrzeń. To nieskażona przyroda, lasy i ten niezwykły spokój, którego dziś tak często brakuje. Można wyjść na spacer, posłuchać śpiewu ptaków, spotkać sarny czy inne leśne zwierzęta i po prostu odetchnąć. Nikt się tutaj nie spieszy, jest taka swoboda i bliskość natury, którą naprawdę czuje się na każdym kroku. Wystarczy przejść kawałek od domu, żeby znaleźć się wśród lasów i zapomnieć o codziennym pośpiechu - mówi pani Jolanta.

Dzisiaj to spokojna miejscowość letniskowa, ale dwa stulecia temu tętniła przemysłowym życiem. Dzięki wodom Santocznej działały tu młyny, kuźnice i tartaki, a przy historycznym trakcie funkcjonowały restauracje, sklep spożywczy, poczta i warsztaty rzemieślnicze. Przełomowym momentem był 1767 rok, kiedy na miejscu dawnego młyna rozpoczęto budowę huty Zanzthal. Przez ponad sto lat wytwarzano tu blachy, pręty, sztaby żelaza, a także narzędzia, druty, gwoździe i igły, które trafiały do odbiorców w całym regionie. Po dawnej hucie do dziś pozostały pamiątki. To między innymi kamień ustawiony w centrum wsi z zatopionymi kawałkami stopionego żelaza, sztabą oraz skoblem z dawnych drzwi wejściowych. To jednak nie koniec przemysłowej historii Zdroiska. Z polecenia króla Fryderyka II pod koniec XVIII wieku powstała tu druga huta - Zanzhammer, nazywana również Sącznikiem Zdroisko. Jej uruchomienie było odpowiedzią na rosnące zapotrzebowanie armii pruskiej na amunicję artyleryjską. Produkowano tu kule do armat, a zakład przeżywał największy rozkwit w okresie wojen Prus z Napoleonem. Dziś po huku młotów i pieców hutniczych nie ma już śladu. Ich miejsce zajęły śpiew ptaków, szum drzew i spacerowe ścieżki prowadzące przez lasy oraz malowniczą dolinę Santocznej.

To było wielkie starcie lubuskich wsi

Do tegorocznej edycji konkursu organizowanego przez urząd marszałkowski zgłosiły się dwadzieścia dwa sołectwa. Ostatecznie nagrodzono trzynaście z nich, a do podziału było niemal sto tysięcy złotych. Komisja nie oceniała jednak wyłącznie tego, czy trawniki są równo przystrzyżone, a rabaty pełne kwiatów. Liczyły się także lokalne tradycje, dbałość o dziedzictwo, działania ekologiczne oraz aktywność mieszkańców. To właśnie ten ostatni element często decydował o końcowym wyniku. Nowością tegorocznej edycji był podział na dwie kategorie dla mniejszych i większych sołectw.

FOT. MAGDALENA MARSZAŁEK

FOT. SOŁECTWO ZDROISKO

eprasa.pl 7650a3d8f2

PULS
#223

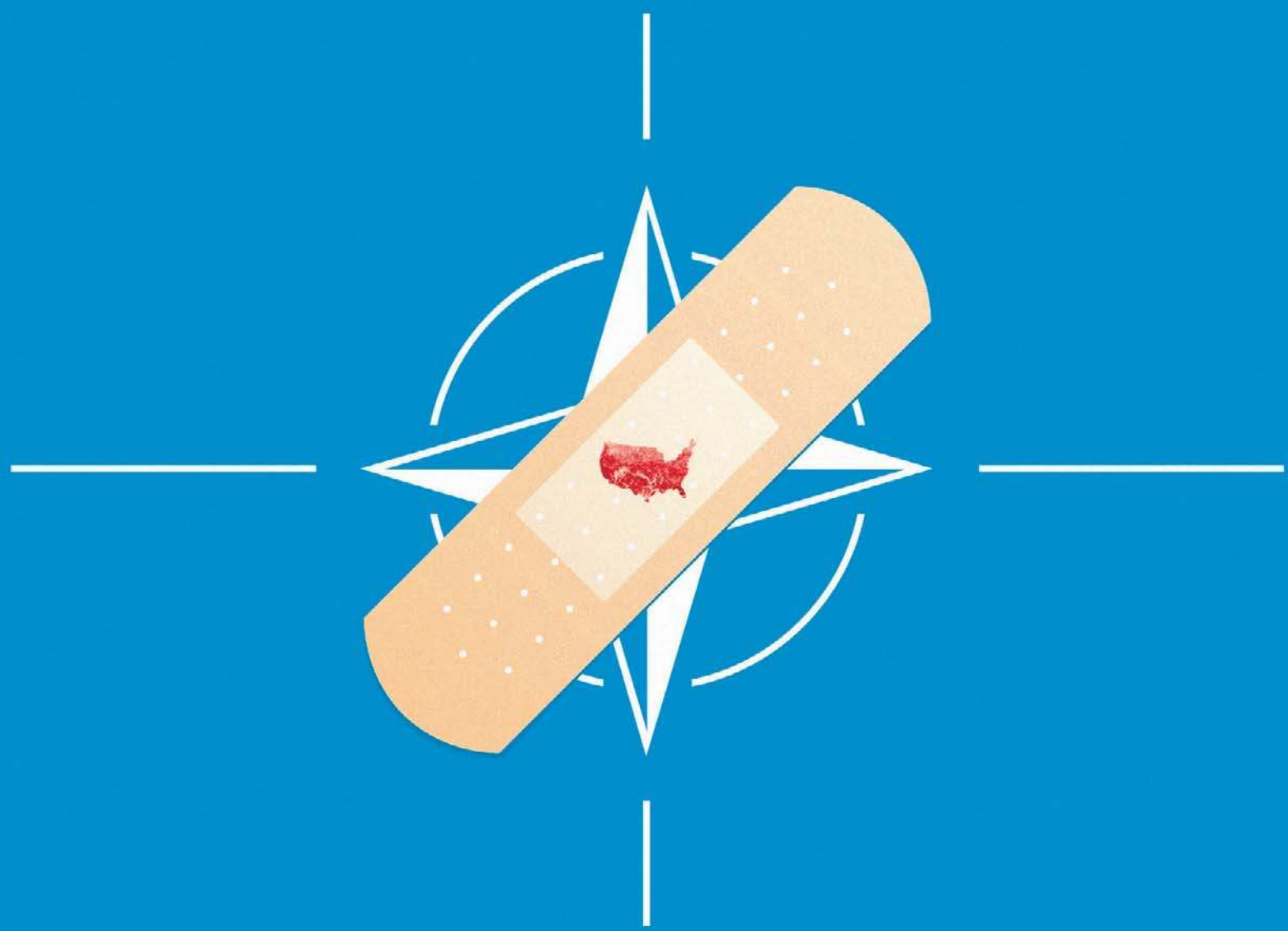

NOTO się okaże po szczycie, w jakiej formie jest Sojusz

BT

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

GEN. CLOSE: USA ZWIĘKSZĄ LICZBĘ ŻOŁNIERZY W POLSCE

- Trump mówił o ewentualnym wycofaniu wojsk z Niemiec, ale spodziewam się, że ci żołnierze zostaną rozmieszczeni w innym kraju NATO. To po prostu gra taktyczna, bo nie można zejść poniżej poziomu ustalonego przez Kongres. Nie wyobrażam sobie, żeby Stany Zjednoczone kiedykolwiek przestały wspierać NATO - mówi gen. George Close, emerytowany wojskowy w stanie spoczynku

Agaton Koziński

Za kilka dni w Ankarze rozpocznie się szczyt NATO. Jakby pan opisał rolę Sojuszu w epoce Trumpa?
Na pewno Trump zmienił Sojusz. Dzięki jego inicjatywie doszło do tego, że wszyscy zaczęli ponosić sprawiedliwy udział w kosztach kolektywnej obrony. Tak się dzieje choćby w przypadku Polski.

Trump nazywa Polskę „wzorowym sojusznikiem".
Widać, że prezydent wykorzystuje swoją przewagę do tego, by skłonić innych sojuszników z NATO do podobnych zachowań. Donald Trump wie, że to się dzieje na Ukrainie, jest bardzo groźne dla Europy, m.in. dla Polski. Nie lekceważy zagrożenia. Zanim jednak USA poświęcą wiele naszej krwi i środków, chce się upewnić, że Europa reaguje odpowiednio.

Pan to nazywa „negocjacjami" – tymczasem nie brakuje spekulacji o tym, że Trump zwyczajnie chce wyprowadzić USA z NATO.
W moim otoczeniu, gdy dyskutujemy wśród bardzo wysokich rangą emerytowanych wojskowych, to rozwiązanie jest odrzucane. Wszyscy moi koledzy zdecydowanie uważają, że USA powinny zostać w NATO. Zresztą - aby wprowadzić jakiekolwiek zmiany w tej sprawie – potrzebna jest zgoda Kongresu. Myślę więc, że macie trochę czasu, by lepiej zrozumieć tę sytuację. A Trump po prostu negocjuje zasady współpracy.

Na zmniejszenie liczby wojsk amerykańskich w Europie też jest potrzebna zgoda Kongresu?
Tak. Ta liczba jest ustalona na określonym poziomie. Nie można zejść poniżej niego bez zgody Kongresu.

Donald Trump zapowiedział zmniejszenie liczby żołnierzy USA w Niemczech o 4 tys. Kilka tygodni później zapowiedział z kolei ich podniesienie w Polsce, choć jednocześnie USA zrezygnowały z rotacji w naszym kraju. Która informacja jest więc prawdziwa: USA zwiększają liczbę żołnierzy w Polsce czy zmniejszają?
Ta pierwsza opcja jest bardziej prawdopodobna. Trump mówił o ewentualnym wycofaniu wojsk z Niemiec - ale spodziewam się, że ci żołnierze zostaną rozmieszczeni w innym kraju NATO. To po prostu gra taktyczna, bo nie można zejść poniżej poziomu ustalonego przez Kongres. Nie wyobrażam sobie, żeby Stany Zjednoczone kiedykolwiek przestały wspierać NATO. Tu po prostu chodzi o zmianę priorytetów.

Zamianę Niemiec na Polskę?
Amerykańscy żołnierze znajdują się na terytorium Niemiec od dawna, natomiast Polska dopiero od kilku lat intensywnie pracuje nad zwiększeniem liczebności swoich sił zbrojnych i nad modernizacją sprzętu wojskowego. W waszym kraju jest coraz więcej bardzo zaawansowanego technicznie sprzętu. W tym tkwi szansa dla Polski. W znalezieniu małych i średnich firm, które będą w stanie zapewnić serwis dla całego sprzętu, który się kupuje. Chodzi o to, aby jak najwięcej sił znajdowało się na czele, na pierwszej linii frontu. To tym bardziej ważne, bo armie są coraz mniejsze. Kiedy kończyłem swoją służbę, w samej armii mieliśmy 785 tys. osób. Teraz liczba ta spadła do około 500 tys.

Jeszcze w latach 90. USA utrzymywały armię zdolną toczyć dwie duży wojny naraz. Dziś to nierealne.
Tak, strategia w tej kwestii uległa zmianie od czasów rządów Clintona. Przeszliśmy od prowadzenia dwóch wojen jednocześnie do prowadzenia dwóch wojen niemal jednocześnie. I w tej sytuacji nadal się znajdujemy. Ale też proszę spojrzeć na nasze operacje w Iranie i w Wenezueli. One najlepiej oddają to, czym zajmują się obecnie amerykańskie siły zbrojne. One ciągle trenują, trenują, trenują. Ludziom trudno zrozumieć specyfikę wojska amerykańskiego, tego, że jest ona armią operacyjną. My nieustannie się szkolimy. Nieustannie się przygotowujemy. I od czasu do czasu przechodzimy do działań bojowych.

Najgorszy scenariusz dla Polski. Rosjanie atakują wschodnią flankę, a Chińczycy atakują Tajwan. Tajwan. Co by się stało w takiej sytuacji?
Moim zdaniem priorytetem byłoby NATO. Oddzielna sprawa, że gdyby coś się zaczęło dziać, to w pierwszej kolejności na Bliskim Wschodzie. Na Dalekim Wschodzie mamy cały system krajów, z którym współpracujemy: Korea Południowa, Japonia, Tajwan. Poza tym USA co jakiś czas sprawdzają się w boju, tymczasem Chiny od dawna nie prowadziły wojny.

Ale od pewnego czasu coraz chętniej prężą muskuły.
I bardzo dobrze.

Uważa pan, że to tylko PR?
Nie, po prostu nie wiem, ile chińskie wojsko jest warte. By móc realnie ją ocenić, musiałbym zapoznać się z ich systemami szkoleniowymi. To jest kluczowa sprawa przesądzająca o wartości bojowej każdej armii. W Stanach Zjednoczonych mamy ogromne ośrodki szkoleniowe. Są niesamowite. W ogóle manewry w wojsku odgrywają kluczową rolę. Z wielu przyczyn. Na przykład teoretycznie do czołgu wchodzą 53 pociski – ale żołnierze muszą umieć je do niego włożyć i odpowiednio ułożyć. Jeśli tego nie będą umieli, to w czasie walk – pod presją, gdy pojawią się przeciwnicy – nie będą tego umieli. A jeśli zmieszczą na przykład tylko połowę, to ich skuteczność bojowa zmniejszy się o połowę. To nie jest science fiction, tylko rzeczywistość pola walki. Dlatego tak ważne jest szkolenie żołnierze, jakość tych ćwiczeń przesądza o ich wartości bojowej.

Obserwujemy wojnę na Ukrainie – i widać, jak bardzo pole walki uległo zmianie w wyniku upowszechnienia się dronów.
Tak, widać szereg zagrożeń na wschodniej flance NATO. Rosyjska inwazja na Ukrainę stworzyła nową asymetryczną rzeczywistość. Mówiłem dużo o tym podczas mojego wystąpienia na konferencji „Poland Future Summit" – podkreślałem, że współczesna wojna rozgrywa się we wszystkich domenach, liczą się w niej nie tylko zdolności bojowe, ale również możliwości gospodarcze. Tylko rozwijając się w ten sposób można doprowadzić do sytuacji, w której wróg uzna, że nie opłaca się atakować waszego kraju, bo stało się to zbyt kosztowne.

Akurat Rosjanie nie zwracają uwagi na koszty swoich działań.
W latach zimnej wojny przez kilka lat stacjonowałem w Europie. Rosjanie wydawali się wtedy olbrzymami – szybko jednak okazało się, że nimi nie byli. Podobnie jest teraz. Gdy wkroczyli na Ukrainę, wydawało się, że wojna szybko się zakończy. Tymczasem nic takiego nie miało miejsca przez ponad cztery lata, oni w zasadzie utknęli w martwym punkcie. Widać, że armia rosyjska nie rozumie na przykład koncepcji zintegrowanego ognia. Gdybym był Putinem, zwolniłbym każdego generała, który rozpoczął tę wojnę i doprowadził do 500 tys. ofiar śmiertelnych od 2022 roku. Przecież USA straciły mniej ludzi podczas całej II wojny światowej. To straszne, jak oni tak marnują ludzi.

Rosyjska specyfika, oni zawsze tak walczą.
To prawda.

Myśli pan, że Rosjanie są skłonni przetestować wschodnią flankę NATO?
Nie sądzę, żeby w ogóle byli w stanie to zrobić. Najpierw musieliby przejść przez Ukrainę, co wydaje się obecnie mało prawdopodobne. Ale gdyby to im się udało i zdecydowali się pójść dalej, zmobilizowałoby to cały świat. Na miejscu Rosjan raczej szukałbym sposobu na zakończenie walk w Donbasie, zawarcie rozejmu.

Dla Putina dążenie do rozejmu byłoby równoznaczne ze stwierdzenie: „Przegrałem tę wojnę". On z powodów politycznych nie może sobie na to pozwolić.
Co do Zełenskiego – podobnie. Po przerwaniu walk, zostałby natomiast odsunięty od władzy. Tylko że teraz zabijanie po prostu trwa dalej. Dlatego walki trzeba przerwać, nawet jeśli relacje między Rosją i Ukrainą będą wyglądać tak jak obecnie między Koreą Północną a Południową.

Formalnie te kraje są ciągle w stanie wojny.
Tak, między tymi krajami zawarto tylko rozejm. Ale proszę zobaczyć, jak ułożyły się relacje między oboma Koreami. Przez te dekady kraj z południa wyraźnie zdominował ten z północy, czy to gospodarczo, czy kulturowo. Dziś nikt nie marzy o tym, żeby przenieść się do Korei Północnej. To samo dotyczy Niemiec. Przecież bardzo długo były one podzielone na RFN i NRD, ale ostatecznie te pierwsze całkowicie zdominowały drugie. Warto o tym pamiętać w kontekście rozmów o ewentual-

GDYBY WSZYSCY OKAZALI TAKIE SAMO WSPARCIE DLA NATO JAK POLSKA, TO SOJUSZ BYŁBY BARDZIEJ ZJEDNOCZONY

eprasa.pl 7650a3d8f2

FOT. NATO

Gen. Close: Widać szereg zagrożeń na wschodniej flance NATO. Rosyjska inwazja na Ukrainę stworzyła nową asymetryczną rzeczywistość (na zdjęciu: manewry wojsk NATO w Estonii)

nym rozejmie między Ukrainą i Rosją. Kijów i tak nie ma szans stać się teraz członkiem UE czy NATO. Z wielu powodów do tego się nie kwalifikuje, choćby przez powszechną w tym kraju korupcję. Dlatego trzeba dać szansę rozwinąć się nowemu pokoleniu. Niech wkrótce to właśnie kultura oraz gospodarka ukraińska sprawią, że Rosjanie zaczną mówić: „O rany, chcemy być częścią Ukrainy".

Na początku wojny z Iranem Eldridge Colby, podsekretarz w Departamencie Wojny, opisał amerykańskie podejście do sytuacji zwrotem „elastyczny pragmatyzm". Jak pan ją ocenia po trzech miesiącach wojny w Cieśninie Ormuz?
Pragmatyczny był sam powód, dla którego wkroczyliśmy do Iranu - zależało nam na tym, żeby ograniczyć zdolności tego kraju do produkcji broni jądrowej. Ten cel osiągnęliśmy.

Na razie trwają rozmowy.
Najbliższe 60 dni zadecyduje o tym, jak będzie wyglądała przyszłość. Rzeczywiście, cieśnina Ormuz stała się problemem, choć wcześniej nim nie była, ale jest to kwestia swobody żeglugi. Ani Oman, ani Iran nie mają do tego rościć sobie praw. Ale uporamy się z tym, zresztą inni członkowie NATO powinni nam w tym pomóc. Najważniejsze, żeby wreszcie doszło do zaprzestania walk. W tej chwili wszystko zależy od Irańczyków. Nie tylko władz. Trzeba skłonić społeczeństwo Iranu do sprzeciwu wobec reżimu. Skłonić do wystąpienia przeciwko niemu. Dotyczy to także Rosji.

Ogromne protesty przeciwko władzom były w Iranie w grudniu. Gdy w lutym zaczęła się wojna, nic takiego nie miało miejsca.
Tak, to trafna uwaga. Ale w Iranie mieszka 90 milionów ludzi. 10 milionów z nich to członkowie Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. To ważne rozróżnienie - bo strażnikom nie chodzi o irańską rewolucję, tylko o rewolucję islamską. Popiera ją 10 mln mieszkańców kraju. Ale pozostałe 80 milionów ludzi w Iranie to Irańczycy. Są Persami. Są nieuzbrojeni - musimy więc znaleźć sposób na to, żeby mogli stanąć przeciwko Strażnikom Rewolucji. To samo dotyczy Rosji.

Wracając do początku naszej rozmowy. Jakby pan opisał znaczenie NATO współcześnie? Wojna w Iranie pokazała dużą dozę braku zaufania między USA i Europą.
Akurat Donald Trump jest w Ameryce krytykowany z obu stron za to, w jaki sposób rozwiązał kwestię Iranu. Ale też myślę, że w tej sprawie słuchał europejskich przywódców. Im zależało na otwarciu cieśniny Ormuz i teraz ropa znów nią płynie. Miejmy nadzieję, że Irańczycy tym razem się wywiążą z zawartych umów. A jeśli nie, to znowu dostaną po kieszeni, bo w kolejnych atakach stracą mosty i zakłady odsalania wody w zachodniej części Iranu.

Czyli znów USA będą grały same, nie w ramach sojuszu.
To nie tak. Prezydent zachowuje się bardzo delikatnie i naprawdę słucha. A NATO nadal pozostanie silne.

Ale pęknięte.
Gdyby wszyscy okazali takie samo wsparcie dla NATO jak Polska, gdyby pozostali członkowie nadrobili zaległości, to Sojusz byłby znacznie bardziej zjednoczony. Ale teraz też już jest całkiem nieźle. Niedawno do NATO dołączyły kraje skandynawskie. Szwecja plasuje się w czołówce pod względem uzbrojenia. Choć nie wszędzie jest tak dobrze. We Francji panuje chaos. Wielka Brytania boryka się z poważnymi problemami.

NATO było w swojej najlepszej formie w okresie zimnej wojny, kiedy miało jasno zdefiniowanego wroga: Związek Radziecki i Układ Warszawski. Gdy z kolei w 2001 r. zdecydowało się na interwencję w Afganistanie, okazało się to kilka kroków za daleko. Czy teraz, gdy widać wyraźnego przeciwnika, może odzyskać dawną formę?
Obecnie mamy dwóch konkurentów - Chiny i Rosję - we wszystkich obszarach ich wpływów. Gdy była podobna sytuacja podczas zimnej wojny, stosowaliśmy strategię zaangażowania - angażowaliśmy się wszędzie tam, gdzie pojawiał się socjalizm i komunizm. Teraz wracamy do tego. Będziemy nadal angażować się w ramach NATO, ale również we współpracy na przykład z Japonią czy Tajwanem. Wszędzie obowiązują te same zasady: jeśli chcesz wzmocnić swój system bezpieczeństwa, musisz być dobrze wyszkolony i nieustannie się rozwijać. Tylko w ten sposób stworzysz sytuację, w której nikt nie będzie chciał przekraczać twojej granicy.

Jeszcze jest kwestia potencjałów - rosyjski jest dużo większy niż choćby polski.
Zagrożenie jest cały czas bardzo poważne, choć obecnie zmagają się z nim Ukraińcy. Byłoby bardzo pomocne, gdyby Polska rozwiązała swoje problemy z Ukrainą. Ale nawet gdy to się uda, nie wystarczy. Musicie stworzyć dużo większą armię, co oznacza prawdopodobnie wprowadzenie obowiązkowego poboru. Oddzielna sprawa, że on jest coraz bardziej kłopotliwy. W USA mamy duży problem z rekrutacją.

Amerykanie nie chcą służyć w wojsku?
Nawet nie o to chodzi. Większym problemem jest brak odpowiednich ludzi. Na 100 Amerykanów zaledwie 25 przechodzi wstępną kwalifikację, pozostali nie spełniają podstawowych wymagań.

Co ich dyskwalifikuje?
Przede wszystkim stan zdrowia. Widać, jak wielu ludzi jest zniszczonych przez narkotyki. Poza tym problemem jest ich stan wiedzy, ci ludzie mają ogromne problemy z nauczeniem się tego wszystkiego, czego wymaga nowoczesne wojsko. To kolejne wyzwanie, które trzeba rozwiązać. Ale pozostawiam to już wam, młodym ludziom.

CV

FOT. AUTOR

gen. George Close
emerytowany generał armii Stanów Zjednoczonych z ponad 30-letnim doświadczeniem w służbie. Obecnie prezes Spectrum Group, zajmującej się doradztwem w zakresie planowania strategicznego i współpracą między agencjami rządowymi

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

KONOŃCZUK: NA KREMLU OD WIELU TYGODNI STRZELAJĄ KORKI OD SZAMPANA

– Rosjanie nie mogą uwierzyć w to, co sami Ukraińcy i Polacy sobie zgotowali. Myślę, że ani w interesie Polski, ani w interesie Ukrainy nie jest dalsze wywoływanie napięcia. Raczej należy uspokajać emocje, a nie je zaostrzać, bo to stara prawda, ale niezmiennie aktualna – o czym część komentatorów i opinii publicznej lubi przypominać, ale bardzo szybko o tym zapomina – że na naszych sporach korzyści odnosi tylko ten trzeci – mówi Wojciech Konończuk, politolog, dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich

Dorota Kowalska

FOT. PRESIDENTIAL OFFICE OF UKRAINE/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS

Konończuk: Nie oczekiwałbym zmiany obecnej polityki w Kijowie. Nie mam wrażenia, że po stronie prezydenta Zełenskiego zwycięży zdrowy rozsądek

Myśli Pan, że na linii Kijów – Warszawa będzie już tylko gorzej?
W najbliższej dającej się przewidzieć przyszłości, czyli w najbliższych miesiącach, myślę, że tak.

Decyzja Wołodymyra Zełenskiego o tym, żeby nadać jednej z jednostek wojskowych imię bohaterów UPA, to była decyzja przemyślana? Prezydent Ukrainy wiedział, jaką burzę wywoła w Warszawie?
Wiedział, że ta decyzja wywoła niezadowolenie Warszawy. Niekoniecznie przewidział, że aż na taką skalę, że stopień gniewu polskiego społeczeństwa będzie tak duży. Ale wielokrotnie w ciągu ostatnich lat był przestrzegany przed podobnymi decyzjami na poziomie ogólnopaństwowym, ukraińskim. Mimo tego podjął tę decyzję z premedytacją.

Dlaczego, Pana zdaniem?
Myślę, że z kilku względów. Po pierwsze - uznał, że może Polskę zignorować. Po drugie - liczył na to, że Polska zareaguje w sposób gniewny, a to spotka się z odpowiedzią społeczeństwa ukraińskiego i przykryje pewne niewygodne dla Zełenskiego tematy w polityce wewnętrznej, choćby te związane z korupcją. Więc w tym sensie, jeśli liczył na konsolidację ukraińskiego społeczeństwa wokół siebie, to można powiedzieć, że odniósł większy sukces niż mógł oczekiwać.

Czyli ta decyzja była kierowana wyłącznie potrzebami polityki wewnętrznej?
Tak uważam.

Ale z drugiej strony Polska pomagała Ukrainie przez ten ostatni czas. To dla Zełenskiego nie ma znaczenia?
Myślę, że prezydent Zełenski już kilkukrotnie w przeszłości pokazywał, że ma krótką pamięć. Jego wystąpienie we wrześniu 2023 roku w ONZ, kiedy porównał Polskę do Rosji, jest tego najlepszym przykładem. Wielu partnerów Ukrainy mogłoby się poskarżyć na ukraiński brak wdzięczności.

To może przyznanie Zełenskiemu Orderu Orła Białego przez prezydenta Dudę było błędem?
Nie chciałbym komentować tej decyzji.

Teraz prezydent Ukrainy ogłosił, że złożył projekt ustawy dotyczącej utworzenia od dawna dyskutowanego w kraju Panteonu Narodowego – miejsca pamięci ku czci osób, które w różnych epokach walczyły o wolną Ukrainę. To pewnie jeszcze zaostrzy sytuację, prawda?
Tak. Ta decyzja już zaostrza dwustronne relacje, szczególnie że do projektu tej ustawy wpisane jest uhonorowanie głównodowodzących UPA, w tym Romana Szuchewycza. To postać bardzo źle zapisana w historii Polski, współodpowiedzialna za zbrodnię wołyńską. Więc na efekt i negatywną reakcję ze strony Polski nie trzeba było długo czekać.

Jakie jeszcze kłopoty wewnętrzne ma Zełenski, że takimi decyzjami próbuje je przykryć? Oprócz korupcji, o której Pan wspomniał.
Prezydent Zełenski romansuje ze środowiskiem nacjonalistycznym, także z nacjonalistami w siłach zbrojnych Ukrainy. Myślę, że w ostatnich tygodniach sporo w ich oczach zyskał taką nieugiętą postawą wobec Polski. Cała działalność na niwie polityki historycznej prezydenta Zełenskiego jest funkcją jego polityki wewnętrznej. To jest dla niego kluczowe, a nie relacje z partnerami zagranicznymi, w tym z Polską. Poza tym prezydent Zełenski i ukraińskie elity coraz bardziej próbują pozycjonować Polskę jako kraj, z którym będą problemy na drodze Ukrainy do Unii Europejskiej. To wygodne z ich punktu widzenia - wpychanie Polski do tego narożnika, w którym do niedawna stał Orbán jako główny blokujący akcesję Ukrainy do UE.

Ale czemu to wygodne dla Zełenskiego?
Dlatego że droga Ukrainy do Unii Europejskiej będzie długa, trudna i niekoniecznie skończy się sukcesem. I to nie ze względu na stanowisko Polski. Tylko, po pierwsze, ze względu na trudność reform po stronie ukraińskiej - przynajmniej na część z nich ukraińskie elity nie mają ochoty. Te reformy bardzo głęboko zmieniłyby ukraiński system polityczny. A z drugiej strony, widzimy też, że w wielu krajach Unii Europejskiej nie ma ochoty na to, żeby Ukrainę wpuszczać na takich samych zasadach, jak to było w przypadku wcześniejszych rozszerzeń, do Unii Europejskiej. Więc mimo różnych obietnic, które władze ukraińskie i sam Zełenski składali społeczeństwu ukraińskiemu, mówiąc, że to będzie szybka akcesja, szybka ścieżka, to się nie wydarzy. Rozczarowanie Ukraińców może być ogromne. Więc z tego punktu widzenia kozioł ofiarny Kijowowi bardzo by się przydał.

I tym kozłem ofiarnym ma być Polska?
Tym kozłem ofiarnym może być Polska, jeśli damy się do tego narożnika zagonić. Nie uważam, że Polska powinna w jakikolwiek sposób sugerować, że będziemy głównym blokującym wstąpienie Ukrainy do UE. Raczej powinniśmy mówić o tym, że Ukraina musi spełnić wszystkie kryteria związane z procesem akcesyjnym, a jeśli ktoś z powodów politycznych chciałby blokować wejście Ukrainy do UE, to niech to będą inni, nie Polska.

Jak bardzo silne są obecnie nacjonalistyczne nastroje w Ukrainie?
Ukraina jest krajem, który prowadzi od ponad czterech lat pełnoskalową wojnę obronną. W przypadku każdego społeczeństwa w warunkach konfliktu zbrojnego wzrost nacjonalizmu jest naturalny. Nie jest tak, że w Ukrainie nastroje nacjonalistyczne są powszechne, choć one na pewno są większe niż przed wojną. Nie dzieje się tam jednak nic, co w jakkolwiek sposób kazałoby mówić, że Ukraina ma ogromny problem z nacjonalizmem.

Powiedział Pan, że dla Zełenskiego w tym momencie ważniejsza jest polityka wewnętrzna niż partnerzy, ale przecież Europa jest Zełeńskiemu potrzebna!
Tak. Prezydent Zełenski i elity ukraińskie zachowują się w sposób niezwykle asertywny, jakby to oni mogli wybierać, kto z zewnątrz będzie im pomagać, ignorując potrzebę czy konieczność zabiegania o taką pomoc. Można powiedzieć, że ukraińska kultura polityczna w tym sensie jest mocno specyficzna.

Czym to jest spowodowane? Czemu Zełenski czuje się tak pewnie?

eprasa.pl 7650a3d8f2

Ta pewność siebie spowodowana jest na pewno zawrotem głowy „od sukcesów” – mamy relatywnie dobrą sytuację na froncie od początku tego roku, ataki na rafinerie i instalacje energetyczne wewnątrz Rosji, udane ultimatum wobec Białorusi, zaproszenie Ukrainy na G7. Taka mania wielkości po stronie ukraińskiej – ona była obecna od początku ukraińskiej niepodległości, ale dzisiaj widoczna jest w sposób wyjątkowy. Tyle tylko, że w całej tej sytuacji Ukraińcy zapominają, że Ukraina nie byłaby w stanie tej wojny obronnej prowadzić bez wsparcia zagranicznego. Ukraiński budżet miałby pięćdziesięcioprocentowy deficyt bez wsparcia finansowego ze strony Unii Europejskiej. Ukraina jest dzisiaj utrzymankiem Zachodu, a wojnę obronną prowadzi wyłącznie dzięki temu, że ma wsparcie, które do niej płynie, o czym Ukraińcy zdają się nie pamiętać.

Tylko taka postawa może prowadzić do tego, że w końcu Europa trochę się wkurzy, mówiąc kolokwialnie.
Ukraina wie, że Europa popiera Ukrainę także we własnym interesie, bo przegrana Ukrainy w tej wojnie nie byłaby dobra dla europejskiego bezpieczeństwa. I myślę, że tym głównie grają Ukraińcy, bo rzeczywiście tak jest. Fakt, że Ukraina jest w stanie efektywnie powstrzymać wojska rosyjskie, wzmacnia również nasze bezpieczeństwo. Chociaż ukraińska mania mówienia o tym, że gdyby nie armia ukraińska, to nawała rosyjska zalała pół Europy, jest fantazją.

To kto jest dzisiaj w Europie dla Zelenskiego partnerem? Niemcy? Francja?
Ukraina ma kilku głównych partnerów. To są te państwa, u których oni widzą największy potencjał polityczny i finansowy do wspierania Ukrainy. To są Niemcy, to są państwa skandynawskie, w temacie politycznym także Francja, ale też Wielka Brytania.

Jak Pan myśli, w którym momencie postąpiliśmy źle, jeżeli chodzi o nasze stosunki z Ukrainą, bo jesteśmy w miejscu, w którym jesteśmy? Co było naszym błędem?
Uznawanie, że Ukraina ma wobec Polski jakiekolwiek sentymenty. Największa część naszej pomocy to były pierwsze miesiące pełnoskalowej agresji rosyjskiej, nie oczekując niczego w zamian, gdyż uznawaliśmy, że w ówczesnej sytuacji byłoby to niemoralne. Zrobiliśmy w 2022 roku to, co należało zrobić, bo porażka Ukrainy wówczas oznaczałaby drastyczne pogorszenie polskiego bezpieczeństwa.

Słyszałam opinie, że być może było za dużo „achów” i tej miłości w stosunku do Ukrainy, że być może trzeba było kierować się bardziej zdrowym rozsądkiem, być bardziej racjonalnym.
Biorąc pod uwagę, w jakim stanie emocjonalnego uniesienia było polskie społeczeństwo po pełnoskalowej agresji rosyjskiej, czego efektem była ogromna pomoc i otwarcie naszych domów dla ukraińskich uchodźców, to potem pewnie nieuchronne było wielkie rozczarowanie. To jest trochę jak w miłości, prawda? Szczególnie w takich młodzieńczych miłościach, kiedy mamy wielkie zakochanie, a potem czasami przychodzi wielkie rozczarowanie. I mam wrażenie, że jesteśmy właśnie w takim stanie emocjonalnym – wielkiego rozczarowania działaniami naszego ukraińskiego partnera. W związku z tym w polskiej polityce wobec Ukrainy dojdzie do zmian. Pewne rzeczy, które Ukraińcom wydawały się oczywiste, przestaną takie być. Myślę, że jakiś etap w relacjach dwustronnych się kończy.

Myśli Pan, że nie będziemy tym państwem, które będzie brało czynny udział w odbudowie Ukrainy? Bo o to teraz też toczy się gra.
Polska weźmie udział w odbudowie Ukrainy. To będzie na tyle duży projekt, że wiele polskich firm weźmie w nim udział jako wykonawcy albo podwykonawcy. Nie da się odbudować Ukrainy bez Polski nie tylko ze względu na geografię, ale również ze względu na to, że z Polski można najszybciej i najtaniej sprowadzić odpowiednią ilość towaru. Pamiętajmy, że to projekt docelowo wart kilkaset miliardów euro; pytanie, jaką część z tych środków w ogóle uda się zgromadzić. Mówimy tu o wsparciu zewnętrznym. Ukraina sama tych środków nie wygeneruje. To będą także środki państw unijnych i samej Unii Europejskiej, której Polska jest członkiem. W państwach Europy Środkowej, w związku z funduszami unijnymi, często już teraz i w kolejnych latach są do wydatkowania porównywalne sumy. Mówimy tu o różnych projektach infrastrukturalnych, budowie autostrad, szlaków kolejowych w Europie Środkowej i w państwach bałtyckich. Więc wiele polskich firm, przynajmniej tak od nich słyszę, podnosi, że te pieniądze już tutaj są na terenie Unii Europejskiej, one są znacznie łatwiejsze do wykorzystania. Nie ma tam równych barier prawnych, kwestii korupcyjnych, jakie są w Ukrainie. Rynek ukraiński, jeśli chodzi o inwestycje zagraniczne i udział w różnego rodzaju projektach publicznych, nigdy nie był łatwy.

Jak Pan myśli, jak teraz mogą potoczyć się stosunki polsko-ukraińskie?
To będzie zależało w dużym stopniu od Kijowa, który w ostatnich tygodniach kilkukrotnie nas prowokował. Pytanie jest takie, czy w Kijowie zwycięży zdrowy rozsądek, czy raczej Zełenski i jego ludzie uznają, że dalsze eskalowanie konfliktu przynosi zyski w polityce wewnętrznej. Myślę, że ani w interesie Polski, ani w interesie Ukrainy nie jest dalsze wywoływanie napięcia. Raczej należy uspokajać emocje, a nie je zaostrzać, bo to stara prawda, ale niezmiennie aktualna – o czym część komentatorów i opinii publicznej lubi przypominać, ale bardzo szybko o tym zapomina – że na naszych sporach korzyści odnosi tylko ten trzeci.

Czyli Rosja.
Tak jest.

Mnie decyzje Zełenskiego dziwią też o tyle, że prezydent Ukrainy wie, iż w Polsce żyje dzisiaj półtora miliona Ukraińców, a takie zachowanie wzmaga nastroje antyukraińskie, prawda?
Niestety tak, i to też jest problem. Także po naszej stronie mamy pewną rzecz do wykonania: nie powinniśmy przenosić naszych negatywnych emocji z Zełenskiego na Ukraińców, którzy w Polsce pracują, a którzy są Bogu ducha winni. Trzeba rozdzielić negatywną ocenę polityki Kijowa od pozytywnej oceny wkładu, który wnoszą do naszej gospodarki i społeczeństwa Ukraińcy pracujący w Polsce.

Jak może się zakończyć konflikt ukraińsko-rosyjski? Widać że, tak jak Pan sam powiedział, Ukraina ma coraz więcej sukcesów na froncie. Myśli Pan, że dojdzie do pokoju, jakieś formy zawieszenia broni?
Nie spodziewałbym się tego szybko. Wydaje mi się, że Rosjanie są maksymalistami i będą chcieli tę wojnę prowadzić do przyjęcia ich warunków przez Kijów. To się nie wydarzy. Uważam, że Rosja tej wojny nie jest w stanie wygrać, nie jest w stanie odnieść sukcesu. Natomiast zarazem nie jest też w stanie zrezygnować z próby osiągnięcia swoich celów wobec Ukrainy. Więc ta wojna będzie trwała jeszcze długo, niestety. Mimo tego, że sytuacja na froncie, jak już mówiliśmy, jest dla strony rosyjskiej gorsza niż była choćby w ubiegłym roku.

Prawdą jest to, o czym piszą niektóre media, że sytuacja gospodarcza i społeczna w Rosji jest coraz gorsza?
Ona się pogarsza, natomiast to nie jest czynnik, który sprawiłby, że Kreml zrewidowałby swoją politykę wobec Ukrainy.

Pisze się też o tym, że rośnie niezadowolenie elit kremlowskich, że być może to obróci się przeciw Putinowi.
Mamy rzeczywiście różne grupy w elicie kremlowskiej. Natomiast głównym decydentem był, jest i będzie Władimir Putin. Nic nie wskazuje na to, aby on chciał zatrzymać konflikt zbrojny. Wydaje się też, że mimo głosów niezadowolenia sytuacja w elitach rosyjskich jest cały czas pod kontrolą Putina. On ma też wszelkie instrumenty, aby ewentualne głosy niezadowolenia dyscyplinować. W tym sensie chcę powiedzieć, że ta wojna, mimo różnych problemów wewnętrznych, będzie trwała.

Jednej rzeczy nie rozumiem: mówimy o odbudowie Ukrainy, o nowych projektach, o pieniądzach Unii, ale trwa wojna. Jak odbudowywać kraj, który jest cały czas bombardowany, atakowany?
Trzeba rozdzielić dwie rzeczy. Tę wielką odbudowę, która może się rozpocząć dopiero po wstrzymaniu ognia, z działaniami punktowymi, kiedy trzeba odbudowywać, remontować, naprawiać zniszczone budynki administracji publicznej, mosty, drogi. Rozdzielmy dwie rzeczy: odbudowę od takich właśnie działań punktowych. Kolejna rzecz: mówimy trochę w uproszczeniu „odbudowa”, ale to ma być transformacja Ukrainy. Te wielkie fundusze, o których się mówi, tylko w części przeznaczone są na odbudowę tego, co zostało zniszczone, a w większym stopniu na transformację ukraińskiego systemu energetycznego, infrastruktury drogowej, kolejowej i tak dalej. Więc tak naprawdę chodzi w dużym stopniu o środki na modernizację gospodarki państwa ukraińskiego.

Co musiałoby się stać, żeby napięta sytuacja w relacjach polsko-ukraińskich zmieniła się na lepsze?
Nie oczekiwałbym zmiany obecnej polityki w Kijowie. Nie mam wrażenia, że po stronie prezydenta Zełenskiego zwycięży zdrowy rozsądek. Sam fakt, że Zełenski zignorował konferencję o odbudowie Ukrainy w Gdańsku, która była przecież organizowania przede wszystkim dla Ukrainy, mówi sam za siebie. Byli tam premierzy różnych państw, najważniejsi politycy od Niemiec, Szwecji po Rumunię, a nie było prezydenta Ukrainy. Wydaje mi się, że pewne urazy, które Zełenski długo nosi, będzie nosił dalej, co będzie wpływać na atmosferę w relacjach dwustronnych.

Ale urazy w stosunku do Polski o co?
On jest przede wszystkim oburzony odebraniem mu Orderu Orła Białego. Zełenski przekonuje, że Polska wtrąca się do ukraińskiej polityki historycznej, że to my jesteśmy tą stroną, która eskaluje konflikt, przynajmniej tak to próbuje pokazać wewnętrznie w przekazie płynącym do Ukraińców. A zarazem sam instrumentalizuje relacje z Polską, jak już mówiliśmy, dlatego, żeby skonsolidować wokół siebie społeczeństwo ukraińskie.

To zabawię się trochę w adwokata diabła: być może rzeczywiście trzeba to było zostawić? Niech sobie Ukraińcy sami wybierają swoich bohaterów narodowych, niech oddają cześć komu chcą.
Jest to rzeczywiście kwestia, o które decydują Ukraińcy, oni mogą sobie wybierać takich bohaterów, jakich uważają za stosowne. Natomiast my mamy prawo mówić, co o tym myślimy. Jeśli nie podoba nam się choćby Roman Szuchewycz czy ktokolwiek inny, kto jest odpowiedzialny za masowe zbrodnie na polskich cywilach, to mamy wręcz obowiązek, żeby zaprotestować. Kijów musi wiedzieć, że to się spotka z polskim niezadowoleniem. Zresztą proszę zwrócić uwagę, że kiedy w 2016 roku polski Sejm przyjął uchwałę o nazwaniu zbrodni wołyńskiej ludobójstwem, to mieliśmy bardzo daleko idące protesty i negatywny stosunek ze strony ukraińskich polityków i społeczeństwa. Więc z jednej strony Ukraińcy mówią: „To jest nasza suwerenność, sprawa wewnętrzna”, ale w 2016 roku tak nie uważali, jeśli chodzi o polskie decyzje.

To chyba źle, kiedy historia – chociaż oczywiście jest bardzo ważna, bo trzeba o niej pamiętać i się na niej uczyć – tak bardzo rzutuje na teraźniejszość i przyszłość...
To prawda. Myślę, że źle się dzieje, kiedy jakiekolwiek państwo i naród są zakładnikami historii, kiedy ta historia rzutuje na współczesność. Historia jest ważna, ale zarazem są sprawy, które dla współczesnych są ważniejsze niż kwestie symboliczne. Ale z drugiej strony myślę, że nasza emocjonalna reakcja na różne decyzje ukraińskie z ostatnich tygodni wynika z tego – zabrzmi to trochę paradoksalnie – pozytywnego ładunku emocji, które nagromadziły się w polskim społeczeństwie wobec Ukrainy od 2022 roku. I potem takiego przekonania, że jednak przyjaciele czy partnerzy, którym pomogliśmy, nie zachowali się jak trzeba, że to było zagranie nie fair. Ukraińcy mówią, że są nam wdzięczni, dziękują za pomoc z 2022 roku w szczególności. Tyle tylko, że jeśli ktoś jest wdzięczny, nie postępuje w podobny sposób. Mam wrażenie, że Ukraińcom brakuje dzisiaj zrozumienia polskiej wrażliwości i w efekcie mamy to, co mamy.

Ukraińcy dobrze się w Polsce zadomowili i myśmy ich też dobrze przyjęli. Wtopili się w nasze społeczeństwo, tak jak Pan mówi, pracują tu, posyłają dzieci do polskich szkół, płacą podatki. Wydaje mi się, że ta sytuacja aż tak bardzo antyukraińskich nastrojów nie wzmaga.
Nie mamy jeszcze żadnych badań, które by to pokazywały po tej eskalacji konfliktu z ostatniego miesiąca. Wcześniej nie było rzeczywiście większych problemów, jeśli chodzi o to, jak Ukraińcy byli przyjmowani w Polsce. Mam jednak wrażenie, że atmosfera wokół nich się generalnie zmienia. Mniejsze czy większe incydenty są szybko nagłaśniane i trzeba na nie reagować. Nie może być przyzwolenia na tego typu negatywne zachowania, ale też nie należy ich wyolbrzymiać. Nie należy robić tego, co próbował robić w niedawnym swoim wystąpieniu minister spraw zagranicznych Ukrainy Andriej Sybiha, rysując nieprawdziwy obrazek, jakoby Ukraińcy byli w Polsce masowo prześladowani.

Najsmutniejsze jest to, o czym już sobie powiedzieliśmy: ta sytuacja najbardziej cieszy Kreml, prawda?
Tak, myślę, że na Kremlu od wielu tygodni strzelają korki od szampana i Rosjanie nie mogą uwierzyć w to, co sami Ukraińcy i Polacy sobie zgotowali.

CV

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wojciech Konończuk
Dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia. Wcześniej zastępca dyrektora, kierownik Zespołu Białorusi, Ukrainy i Mołdawii oraz analityk ds. polityki zagranicznej i energetycznej Rosji w Zespole Rosyjskim OSW.

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

– Po zbadaniu siedemdziesiątej pacjentki byłam wściekła. Na niesprawiedliwość świata, na bezradność tych kobiet i na to, jak łatwo żyje się nam – mówi dr Anna Paczkowska, ginekolog z Poznania, która od kilku lat wyjeżdża na misje medyczne do Afryki

Sylwia Rycharska

„TAM DZIECI UMIERAJĄ Z POWODU ZWYKŁEJ NITKI"

Była dwa razy na Madagaskarze, pięć razy w Republice Środkowoafrykańskiej i dwa razy w Tanzanii. W październiku, wyruszy do Brazylii, gdzie wraz z zespołem lekarzy będzie pracować w dorzeczu Amazonki. Przez lata badała kobiety w afrykańskim buszu, szkoliła akuszerki, operowała w szpitalach bez podstawowego wyposażenia i obserwowała świat, w którym narodziny dziecka wciąż mogą oznaczać wyrok śmierci dla matki.

To nie jest opowieść o egzotycznej przygodzie. To historia o kobietach, których życie wyznaczają bieda, brak edukacji i system, który często pozostawia je same.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dr Anna Paczkowska wyjeżdża na misje do Afryki od kilku lat. Jedna misja trwa około 3 tygodni. W październiku wyjeżdża na kolejną – tym razem w inny kierunek – do Brazylii. Z zespołem będzie pracować w dorzeczu Amazonki

Droga bez drogi

Najpierw była zwykła wycieczka na Madagaskar.

- Zawsze chciałam pojechać na misję, ale nie odpowiadały mi sztywne zasady dużych organizacji przygotowują takie wyjazdy. Chciałam działać na własnych warunkach - wspomina dr Paczkowska.

Po powrocie zaczęła szukać kontaktów. Tak trafiła do Fundacji Ankizy Gasy - Dzieci Madagaskaru, prowadzonej przez Polki - Patrycję Malik i Katarzynę Białous i do polskiej misjonarki, siostry Iwony Korniluk, pracującej w miejscowości Berevo, położonej głęboko w buszu, nad rzeką Tsiribihina.

Do wioski nie prowadziła żadna droga.

- Żeby tam dotrzeć, trzeba było wynająć statek. Powiedziałam wtedy: „Wynajmę statek. Będę mogła kiedyś opowiadać wnukom, że babcia wynajęła statek na Madagaskarze" - mówi z uśmiechem nasza rozmówczyni.

Statek okazał się niewielką łodzią, którą miejscami trzeba było przepychać przez mielizny. Ale dopłynęli.

Na miejscu rozpoczęły się badania kobiet, edukacja zdrowotna i drobne zabiegi wykonywane w znieczuleniu miejscowym w warunkach dalekich od szpitalnych standardów.

Temperatura sięgała 40 stopni. Aparat USG po kilku badaniach przegrzewał się tak bardzo, że trzeba było wynosić go na zewnątrz. Za dużo to nie pomagało, bo na dworze było jeszcze cieplej.

- Następnym razem kupiliśmy wentylator, który chłodził aparat USG. Brakowało sprzętu, leków i podstawowych materiałów medycznych - opowiada.

- Człowiek był skazany na swoje ręce, doświadczenie i improwizację - dodaje.

Jedna z malgaskich historii wraca do niej do dziś. Do punktu medycznego przyszła młoda kobieta w ciąży. Nie wiedziała, w którym jest tygodniu. Nie czuła ruchów dziecka.

- Dno macicy było na wysokości pępka, co sugerowało 24. tydzień. Ale kto to może wiedzieć... W Polsce rozwiązanie byłoby proste: badanie USG, konsultacja, decyzja.

Tam sprzęt praktycznie nie działał.

- Nie wiedziałam, czy dziecko żyje, czy nie. Gdyby obumarło, mogła umrzeć również matka - mówi dr Paczkowska.

Miejscowa położna nie miała możliwości wykonania dodatkowych badań. Kobieta została więc na noc w jej domu. Jeżeli pojawiłaby się gorączka, trzeba byłoby działać. Jeżeli poczułaby ruchy dziecka - pozostałoby czekać na poród.

Innym z dramatycznych wspomnień pozostaje historia młodej Malgaszki. Miała 18 lat. Poród rozpoczął się w lesie. Trwał dwa dni. Bez efektu. W końcu rodzina zaczęła szukać pomocy. Najpierw niesiono ją na rękach. Potem wozem ciągniętym przez zwierzęta, przewieziono ją do szpitala kierowanego przez inną polską misjonarkę - siostrę Małgorzatę Langner. Dziecko nie przeżyło. Po ratunkowym cięciu cesarskim dziewczyna krwawiła, miała krwisty mocz i rozległe obrażenia pochwy.

- W szpitalu nie było ginekologa. Tam cięcia cesarskie wykonuje chirurg. Myśmy akurat przypadkiem byli w stolicy - Antananarywie, około 4 godziny drogi od tego szpitala. Pojechaliśmy tam - mówi.

- Siedziałam przed nią i myślałam: „Po co ja tu w ogóle przyjechałam? Przecież nie dam rady" - dodaje.

Przy pomocy podstawowych narzędzi: plastikowego wziernika, pojedynczych gazików i podstawowych narzędzi próbowała ratować pacjentkę. Oczywiście bez znieczulenia.

- Dziewczyna cały czas się uśmiechała. Pytałam ją, czy wszystko w porządku. Odpowiadała: „Okej". Udało się ją uratować.

Inne doświadczenia miała w Tanzanii, gdzie pojechała z Fundacją „Africa Help" w rejony zamieszkane przez Masajów. Wraz z prezeską Krajowej Izby Diagnostów Laboratoryjnych, dr Moniką Pintal-Ślimak prowadziły edukację i tworzyły laboratorium.

- Nigdy wcześniej nie widziałam tylu chorób przenoszonych drogą płciową, zwłaszcza kiły i AIDS oraz groźnych pasożytów (tasiemców, glist ludzkich, węgorków jelitowych, rzęsistków pochwowych, zarodźców malarycznych) - wspomina.

W Polsce lek przeciwpasożytniczy - Albendazol - sprzedaje się w opakowaniach zawierających jedną tabletkę - w Tanzanii opakowanie zawiera 1000 tabletek.

Tanzania jest również krajem, w którym kobiety poddawano okaleczaniu żeńskich narządów płciowych. W niektórych plemionach zwyczaj ten jest nadal praktykowany.

- Widziałam młode dziewczyny po obrzezaniu. Zabieg ten może powodować znaczne problemy zdrowotne, na przykład nawracające, nie poddające się leczeniu infekcje układu moczowego, zbliznowacenia narządów płciowych i problemy przy porodach - opisuje poznańska ginekolog.

- Dla nas to niewyobrażalne, a co mnie bardzo uderzyło - dla większości obrzezanych kobiet, z którymi rozmawiałam, nie stanowiło to problemu. Ot, element tradycji. Jak u nas kiedyś dziewictwo przed ślubem - dodaje.

„Daj mi swoją sukienkę"

Dr Paczkowska przyznaje, że wielokrotnie podczas misji towarzyszyły jej złość, bezsilność i poczucie bezsensu.

Przywoziła leki, rękawiczki ochronne, materiały opatrunkowe, sprzęt. Generalnie wszystko, co było potrzebne do pracy. Zostawiała na miejscu aparaturę kupioną za własne pieniądze.

Po całym dniu pracy podeszła do niej jedna z pacjentek.

- Zaczęła mnie szarpać za ubranie i powiedziała: „Daj mi swoją sukienkę".

Kiedy odmówiła, usłyszała:

- „Daj, bo ty masz, a ja nie mam. Ty sobie kupisz". Pomyślałam wtedy: po co ja tu właściwie przyjechałam? Żeby wszystko rozdawać?

To właśnie wtedy zaczęła dojrzewać w niej myśl, że pojedyncze akcje medyczne nie wystarczą.

- Doszłam do wniosku, że jedyną rzeczą, która naprawdę może coś zmienić, jest edukacja.

Po latach wyjazdów jest przekonana, że największą wartość ma nie rozdawanie pieniędzy, lecz inwestowanie w ludzi. Za sprawą jednej z fundacji działających na Madagaskarze zaadoptowała wirtualnie dziewczynkę Oliwię. Opłaciła jej edukację i wspomagała finansowo jej życie. Po ukończeniu nauki młoda kobieta została położną. Założyła rodzinę i jednak porzuciła zawód.

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gdy Oliwia zaszła w ciążę, okazało się, że konieczne będzie cesarskie cięcie. Bez pieniędzy zabieg nie zostałby wykonany.

- Musiałam przesłać środki na operację, bo inaczej mogłaby umrzeć. Tam nawet podstawowa pomoc medyczna często zależy od tego, czy ktoś znajdzie pieniądze. W przeciwnym wypadku człowiek umiera pod szpitalem - mówi.

Później Oliwia coraz częściej prosiła jednak o kolejne wsparcie finansowe.

- Kiedy znów zażądała pieniędzy - tym razem na zakup domu - powiedziałam: „Dość". Część ludzi przyzwyczaja się do tego, że pomoc będzie przychodzić zawsze. To jest niestety mentalność części tamtejszej ludności.

Ale niektóre dziewczyny wykorzystały swoją szansę, jak Tatiana, „adoptowana" córka koleżanki lekarki, która kontynuuje naukę i pomaga dziś innym mieszkańcom swojej społeczności.

To właśnie dlatego nadal wraca do Afryki. Nie dlatego, że wierzy, że uratuje świat.

- Świata nie zbawię. Ale może uda się pomóc jednej osobie. A ona pomoże następnej. Pomaganie trochę uzależnia. Wracasz zmęczony, czasem zły, czasem rozczarowany. A potem i tak jedziesz znowu. Tam człowiek przypomina sobie, co naprawdę jest ważne.

Jesienią, z grupą lekarzy - dr Martyną Siąkowską (ginekolog), dr. Radkiem Sońtą (anestezjolog) i dr Alicją Kornacką (neonatolog - pediatra) - wyruszy do Brazylii.

- Popłyniemy 24 godziny z Manaus przez dorzecze Amazonki do odległych osad ukrytych w dżungli. Tam na nas czekają dwie polskie misjonarki - mówi.

- Językiem urzędowym w Brazylii jest portugalski, więc siostry będą z nami pracować jako tłumaczki. Siostra Jadzia Stawaruk jest mózgiem wyjazdu. Bardzo się cieszę, że pojedziemy z Martyną i Radkiem. To jest nasz kolejny wyjazd w tym składzie. Dobrze nam się razem pracuje i zawsze możemy na siebie liczyć przy stole operacyjnym. Alicja w tym roku do nas dołącza. I pewnie ona będzie miała najwięcej pracy, bo w miejscowości Maraa nigdy nie było pediatry - opisuje jesienne plany.

Kraj, w którym umiera 850 matek na 100 tysięcy porodów

Największe wrażenie na dr Paczkowskiej zrobiły afrykańskie kobiety - a dokładniej ich postrzeganie siebie.

- Są pogodzone ze swoim losem. Bardzo słabo wyedukowane. Często nieufne, ale ta nieufność bierze się głównie ze strachu.

W wielu miejscach kobiety nie wiedzą, ile mają lat. Nigdy nie były badane przez ginekologa. Nie mają dostępu do badań prenatalnych. Nie znają podstawowych zasad higieny okołoporodowej.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dr Anna Paczkowska wspomina, że aparat USG, który przywiozła ze sobą po kilku badaniach przegrzewał się do tego stopnia, że przestawał działać. Wynoszenie go na zewnątrz nie pomagało. Rozwiązaniem okazał się zakup wentylatora

Republika Środkowoafrykańska należy do najbiedniejszych państw świata. Choć posiada ogromne zasoby naturalne, od lat pozostaje krajem wyniszczanym przez konflikty i korupcję.

- Nie ukrywam, że szczególny sentyment mam do Republiki Środkowoafrykańskiej. Tam czuję się naprawdę potrzebna. Do RŚA trafiłam za sprawą Izy Cywy, niesamowitej dziewczyny, która od kilkunastu lat mocno związana jest z tym krajem. Zna język francuski i lokalny język sango. Jest organizatorką naszych wyjazdów, naszą tłumaczką i dobrym duchem. Przez kilka lat była dyrektorką szpitala w miejscowości Bagandou, gdzie leczyła Pigmejów. Szczególne miejsce w jej sercu zajmują programy medyczne mające poprawić los kobiet.

W RŚA ciąże prowadzi się często tylko przy pomocy centymetra krawieckiego.

- Mierzy się wielkość macicy od spojenia łonowego przez pępek do jej dna. Na tej podstawie ocenia się rozwój ciąży. Badanie USG jest dla większości kobiet czymś całkowicie niedostępnym. Opieka okołoporodowa nie istnieje.

Najbardziej przerażające są jednak statystyki.

- W Polsce umierają trzy matki na sto tysięcy porodów. Tam około 850. To jedna z najwyższych umieralności okołoporodowych na świecie. Na cały kraj przypada zaledwie 16 ginekologów - mówi.

Kobiety umierają z powodu krwotoków, zakażeń, powikłań porodowych i braku dostępu do pomocy medycznej.

Porody odbierają często tzw. matrony - lokalne akuszerki bez wykształcenia medycznego.

- To najczęściej kobieta, której matka albo babka też przyjmowała porody. I na tym kończy się jej przygotowanie. Właśnie dlatego Iza Cywa i kolejna fantastyczna osoba - położna Sara Suchowiak, stworzyły program „Bezpieczna Mama".

Jest to program skierowany do matron - akuszerek, mający nauczyć je bezpiecznego położnictwa. Dr Paczkowska dwukrotnie wyjeżdżała do RŚA w ramach tego projektu, wspierając położne w zakresie patologii porodu.

Początkowo próbowano prowadzić wykłady i testy. Szybko okazało się, że większość Afrykanek nie potrafi ani czytać ani pisać.

- Te kobiety nigdy wcześniej nie widziały termometru. Nie wiedziały też, jaka temperatura jest prawidłowa. Na aparatach do mierzenia ciśnienia i termometrach zaznaczałyśmy kolorami zielonym i czerwonym zakresy bezpieczne i niebezpieczne.

Szkolenia oparto na ćwiczeniach praktycznych. Na fantomach pokazywano, jak przebiega poród, co zrobić przy krwotoku, jak postępować przy porodzie pośladkowym czy bliźniaczym.

- One ustawiały się po kilka razy do tych samych ćwiczeń, aby jak najwięcej się nauczyć. Każdy z nauczycieli chciałby mieć tak zaangażowanych uczniów - podkreśla ginekolog.

Na koniec kursu odbywał się egzamin. Dla wielu uczestniczek był pierwszym w życiu.

- Strasznie się denerwowały. A po usłyszeniu wyniku cieszyły się jak dzieci.

Jedno wspomnienie pozostało szczególnie żywe.

- Jedna z kobiet wzięła białą lalkę noworodka, której używaliśmy do ćwiczeń resuscytacji - nie mogliśmy wtedy zdobyć czarnoskórego fantomu. Spojrzała, delikatnie pocałowała lalkę w główkę i się uśmiechnęła. Było to bardzo wzruszające - zaznacza.

Po szkoleniach matrony otrzymywały specjalnie przygotowane plecaki położnej z podstawowym wyposażeniem potrzebnym do bezpiecznego odbierania porodów. Nie zawsze jednak sprzęt trafiał do kobiet.

- W niektórych miejscach lokalne władze przejmowały te plecaki i sprzedawały je. To pokazuje skalę problemu. Czasem większym wyzwaniem niż brak sprzętu jest system, który nie pozwala wykorzystać pomocy zgodnie z przeznaczeniem.

Takie sytuacje sprawiają, że bezsilność często miesza się ze złością. Często, po kolejnych dniach badań i zbadaniu kilkudziesięciu pacjentek, wychodziła z gabinetu wściekła. Na zewnątrz czekało następnych tyle, wędrujących przez wiele kilometrów, koczujących pod drzewami, klęczących, błagających, aby ich nie ominąć i je zbadać.

- Byłam wściekła nie na te kobiety. Na niesprawiedliwość świata. Na to, że one rodzą i umierają w takich warunkach, a my jesteśmy wiecznie zgorzkniali i niezadowoleni i w ogóle nie zdajemy sobie sprawy, jakie mamy szczęście.

W Afryce problemów jest znacznie więcej. Dzieci często umierają z powodów, które dla Europejczyków wydają się niewyobrażalne. Pępowiny po porodzie są podwiązywane zwykłą nitką, często zabrudzoną ziemią. W ziemi znajdują się laseczki tężca - zakażenie nimi jest śmiertelne dla niezaszczepionych maluchów.

- Dzieci umierają z powodu zwykłej nitki. Wcześniaki najczęściej nie mają szans na przeżycie. Jeżeli noworodek nie oddycha po porodzie, wiele matron nie podejmuje żadnych działań, bo nigdy nikt nie nauczył ich tego - żadnych prób resuscytacji czy zwykłego ogrzania.

Operacje w 30 stopniach

Dr Paczkowska trzy razy wyjeżdżała również na misje operacyjne do RŚA. Zespół lekarski kwalifikował pacjentki do zabiegów i przeprowadzał operacje ginekologiczne.

Na salach operacyjnych temperatura przekraczała 30 stopni Celsjusza. Zdarzały się przerwy w dostawie prądu i wody. Krwi do przetoczeń często nie było.

- W Polsce zawsze można kogoś poprosić o pomoc. Pracujesz w zespole. Dookoła jest mnóstwo lekarzy różnych specjalności. Są laboratoria, sprzęt, narzędzia, leki. Jest również światło i woda. Tam jesteś sam. Jeśli sobie nie poradzisz, nikt ci nie pomoże, nikt nie zastąpi - tłumaczy.

- Dlatego tak ważne jest stworzenie zespołu, który może na siebie liczyć. Tam nie pracuje się na siebie. Nie ma miejsca dla ludzi mających parcie na szkło. Tam nikt nie tworzy tła dla drugiej osoby. Jest grupa, team. Każdy się wspiera i uzupełnia. Gdy ktoś ma gorszy dzień, jest odwodniony, ma biegunkę, objawy uboczne szczepień, leków, które przyjmujemy (przeciw AIDS, malarii), ledwo się trzyma na nogach - inni muszą o niego zadbać. Tam praca jest naprawdę trudna - wyjaśnia dalej.

Do dziś wspomina miejscowego młodego lekarza - Prince Yvan Mboka (miał niewiele ponad 30 lat) - jedynego lekarza w szpitalu w Bagandou.

- Był fantastycznym uczniem. Po kilku dniach wspólnej pracy zaczął samodzielnie wykonywać coraz bardziej skomplikowane operacje. Do tej pory często pracujemy razem. Prince wysyła nam zdjęcia na WhatsAppie, konsultuje z nami swoje pacjentki. To daje poczucie sensu. Jedna osoba może potem pomóc tysiącom kolejnych.

Później przyjechał także do Polski na dodatkowe szkolenia. Obserwował pracę na oddziałach, poznawał nowoczesne procedury i techniki operacyjne, których wcześniej nie miał okazji zobaczyć.

- To właśnie takie działania mają sens. Nie jednorazowa pomoc, ale przekazywanie wiedzy ludziom, którzy zostają na miejscu i mogą leczyć kolejnych pacjentów.

Lekarka nie ukrywa też rozczarowania sposobem, w jaki część międzynarodowej pomocy funkcjonuje w Afryce.

- Do Afryki płyną ogromne pieniądze. Tylko nie widać ich efektów.

Jak mówi, spotykała osoby zajmujące się zawodowo pomocą humanitarną, które więcej czasu spędzały na konferencjach i spotkaniach niż przy pacjentach.

- Widziałam wielu lekarzy, którzy pracowali w organizacjach humanitarnych. Jeździli luksusowymi samochodami, nosili drogie zegarki i zamiast zająć się konkretną pracą i pomocą, robili sobie dużo zdjęć, organizowali dużo spotkań i konferencji, które niczego nie zmieniały. A obok kobiety nadal rodziły bez podstawowej opieki. I umierały. Czasem mam wrażenie, że mniej mówić, a więcej działać przyniosłoby lepsze efekty - mówi.

„Gwałty są dla nich normalnością"

Ginekolog z Poznania zwraca uwagę, że jednym z najtrudniejszych tematów jest przemoc wobec kobiet.

- W wielu miejscach większość dziewcząt została zgwałcona. Jeszcze bardziej poraża mnie fakt, że same kobiety często nie traktują tego jako przemocy. To jest dla nich normalne. Tak wygląda życie.

W domu dla dziewcząt na Madagaskarze spotkała nastolatkę, która zabiła własnego ojca, kiedy ją gwałcił.

- To są historie, które zostają w człowieku na zawsze.

Czy mamy prawo ich oceniać?

Mimo wszystkich dramatów dr Paczkowska unika prostych ocen. Przez lata zadawała sobie pytanie, czy Europejczycy rzeczywiście mają prawo mówić Afrykańczykom, jak powinni żyć.

- Czy mamy prawo pojechać tam i powiedzieć: wszystko robicie źle, a my robimy dobrze?

Z jednej strony widzi ogrom cierpienia. Z drugiej dostrzega ludzi, którzy mimo skrajnej biedy potrafią cieszyć się życiem.

- Jest wieczór. Świeci księżyc. Niebo półkuli południowej jest pełne gwiazd. Jest ładniejsze niż nasze. Ludzie tańczą, śpiewają, spotykają się razem. Są szczęśliwi.

Dlatego najważniejszą lekcją z misji nie stała się medycyna.

- My po prostu mieliśmy szczęście urodzić się po tej stronie równika - kończy rozmówczyni „Głosu Wielkopolskiego".

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

„CZARNE CHMURY". Z SZABLĄ I HONOREM

Tego jeszcze w historii nadwiślańskiej telewizji nie było – pierwszy rodzimy serial spod znaku płaszcza i szpady, w dodatku barwny, wypełniony pojedynkami, brawurowymi ucieczkami, realistycznymi scenami walki i z wątkiem miłosnym na deser. W tym roku mijają 53 lata od premiery „Czarnych chmur"

Wojciech Obremski

FOT. CC

„Czarne chmury" wyróżniały się wizualnie na tle innych produkcji tamtych lat, zwłaszcza pod względem barw

Fabułę serialu umiejscowiono w drugiej połowie XVII wieku, a jej osią są dramatyczne walki o utrzymanie przy Rzeczypospolitej Prus Książęcych. Pierwowzorem głównego bohatera, czyli pułkownika Krzysztofa Dowgirda, będącego posiadaczem wszelkich cnót wynikających z patriotyzmu i szlacheckiego honoru, był niejaki Krystian Ludwik Kalkstein-Stoliński - również pułkownik, urodzony jako poddany pruskiego elektora. Także wachmistrz Kacper Pilch, wierny sługa Dowgirda, miał swój historyczny odpowiednik - był nim giermek wspomnianego Kalksteina o imieniu Pilz, który wielokrotnie wyciągał swojego pana z tarapatów. Kalkstein został w Prusach oskarżony o zdradę, uciekł więc, z pomocą Pilza, do Warszawy (niczym Dowgird z Kacprem), gdzie podburzał przeciw elektorowi szlachtę, a nawet dotarł do hetmana Jana Sobieskiego i króla.

Różnie jednak kończą się przygody Dowgirda i Kalksteina - pierwszy szczęśliwie realizuje swoje zadanie, a wątek miłosny z Anną Ostrowską (w tej roli Elżbieta Starostecka) dodaje całej historii romantycznej oprawy. Kalkstein-Stoliński został zaś zdradzony, porwany przez pruskich agentów i ścięty w Kłajpedzie w 1672 roku.

Zdrajca autorem scenariusza?

Owe losy rzeczywiście aż prosiły się o przeniesienie na ekran. Powstał więc scenariusz, tu i ówdzie naginający prawdę historyczną - „ku pokrzepieniu serc", niczym w sienkiewiczowskim „Potopie". Nie to jednak jest w nim godne uwagi, ale fakt, że... nie do końca wiadomo, kto jest jego autorem. Wprawdzie pod tekstem podpisali się Ryszard Pietruski (odtwórca roli Kacpra) i Antoni Guziński (szef... działu rolnego w jednym z tygodników), to pojawiły się głosy, że scenopis do „Czarnych chmur" napisał Ludwik Kalkstein, rzekomy potomek XVII-wiecznego pułkownika.

Niestety, tak się złożyło, że był on zdrajcą, który podczas II wojny światowej zhańbił się współpracą z Gestapo (był m.in. współodpowiedzialny za aresztowanie generała Stefana „Grota" Roweckiego). A gdy po wojnie odsiedział wyrok za kolaborację, zaczął pracować dla Służby Bezpieczeństwa. W dodatku, jak głosi wieść, Kalkstein próbował sprzedać scenariusz oparty na losach swojego przodka, by w ten sposób oczyścić swoje rodowe nazwisko.

Ostateczne wątpliwości rozwiał pewnego razu reżyser „Czarnych chmur", czyli Andrzej Konic. - To Kalkstein pisał scenariusz „Czarnych chmur", Rysio Pietruski tylko to za niego podpisał. Zdradzę panu pewną tajemnicę. Nazwisko głównego bohatera musiałem zmienić na pięć dni przed rozpoczęciem zdjęć. W scenariuszu był Kalkstein. To wtedy by nie przeszło. „Dowgird" było krótko i nieźle brzmiało - mówił reżyser na antenie Telewizji Polskiej.

„My »Potop« robimy, a wy jakiś serialik kręcicie..."

W pułkownika Dowgirda wcielił się Leonard Pietraszak, dla którego była to pierwsza znacząca rola filmowa. - Propozycja zagrania w serialu przygodowym była dla mnie ogromną niespodzianką. Zbliżałem się do czterdziestki i powtarzałem kolegom, że jestem już w wieku, w którym powinienem zacząć się starzeć! A tu dostaję propozycję zagrania pułkownika, mam jeździć konno, fechtować. Półroczny obóz szkoleniowy bardzo mi się przydał. Uprawiałem szermierkę, uczyłem się jeździć konno. Kocham konie, ale do dziś nie akceptuję jeździectwa. Tego, że to piękne, mądre zwierzę musi dźwigać człowieka. W sekcji jeździeckiej Legii trenował nas wspaniały przedwojenny oficer, major Farenstein. Wiele nas nauczył, chociaż ciągle powtarzał: „Ja was nie nauczę w tak krótkim czasie jeździć, ale nauczę was, jak dobrze wyglądać na koniu!". W tym samym czasie kręcony był „Potop", więc mijaliśmy się tam z Tadeuszem Łomnickim, Danielem Olbrychskim i innymi. Spotykaliśmy ich też potem w hotelach, kiedy już rozpoczęliśmy zdjęcia. My kręciliśmy w Krakowie, oni pod miastem. Patrzyli na nas, śmiejąc się: „My to »Potop« Hoffmana robimy, co tam wy, serialik jakiś...". A jednak te „Chmury" do dziś chodzą w telewizji i podobają się kolejnym pokoleniom" - wspominał aktor w książce Katarzyny Madey „Leonard Pietraszak. Ucho od śledzia".

Choć dziś trudno wyobrazić sobie w roli Dowgirda kogoś innego niż Leonard Pietraszak, to początkowo głównym bohaterem miał być Stanisław Jasiukiewicz, znany m.in. jako ojciec Janka Kosa w „Czterech pancernych i psie" czy wielki mistrz Ulrich von Jungingen w „Krzyżakach". Niestety, aktor poważnie zachorował, a następnie zmarł pół roku przed premierą pierwszego odcinka „Czarnych chmur". W Andrzeja, kuzyna starościanki Anny, miał wcielić się Jerzy Zelnik (zamiast Jerzego Matałowskiego), a nieustannie wstawionym szlachcicem Błazowskim (tym od słynnej kwestii: „On mi wilcze doły, a ja go bukłaczkiem!") miał być nie Cezary Julski, a Bronisław Pawlik. Na ekranie przewijają się także m.in.: Jerzy Nowak, Karol Strasburger, Józef Nalberczak, Mariusz Dmochowski, Tadeusz Pluciński, Emil Karewicz czy Jerzy Turek. Zaś głos narratora należał do Piotra Fronczewskiego. - Największymi atutami tej produkcji są niezwykła dbałość jej twórców o realia historyczne, wspaniałe kostiumy i fakt, że nawet w najmniejszych epizodach zagrali znakomici aktorzy - podkreślał Leonard Pietraszak.

Tańcząca Janda, uzbrojony Linda

Co ciekawe, w serialu widzimy w epizodycznych rolach Krystynę Jandę i Bogusława Lindę, którzy już wkrótce mieli zrobić filmową karierę. Janda wystąpiła w jednym z odcinków jako dziewczyna na weselu. - Byłam wtedy na pierwszym roku w szkole teatralnej. Spędzaliśmy wakacje w Augustowie na jakimś obozie. I cały nasz rok wzięli do filmu. To było przedłużenie zabawy, a przy okazji dorobiliśmy sobie - wspomina aktorka. Z kolei Linda zagrał... halabardnika strzegącego Barbakanu. - Fantastyczna rola. Zero odpowiedzialności. Można pokazać rodzinie. Tu, w lewym rogu jestem ja - opowiadał aktor po latach.

W ścigającego Dowgirda i Kacpra oficera pruskich rajtarów, czyli kapitana Knothe'a, wcielił się Maciej Rayzacher, który do swojej roli przygotowywał się kilka miesięcy, ćwicząc jazdę konną w wojskowej stadninie. I, jak okazało się później, fakt ten bardzo mu się przydał, bo po internowaniu go przez władze podczas stanu wojennego musiał zmienić zawód. - Gdy władze zadbały o to, żebym nie pracował jako aktor, zostałem wychowawcą w domu małego dziecka i zajmowałem się dziećmi autystycznymi i niewidomymi. Dzięki „Czarnym chmurom" mogłem prowadzić zajęcia z hipoterapii. I właśnie wtedy - a nie w czasie kręcenia serialu - po raz pierwszy spadłem z konia - opowiadał Rayzacher.

XVII-wieczną stolicę zagrała w serialu lubelska starówka. Sceny klasztorne nakręcono w klasztorze kamedułów w Rytwianach, zaś w Puszczy Augustowskiej można zobaczyć Mostek Dowgirda - to tutaj bohater ukrywał się przed pościgiem, zanurzony po szyję w wodzie.

Przy pracy nad serialem wykorzystano nowoczesne, jak na ówczesne warunki, techniki. Użyto drogiej, kolorowej taśmy Eastman Kodak, dzięki czemu „Czarne chmury" wyróżniały się wizualnie na tle innych produkcji tamtych lat, zwłaszcza pod względem nasyconych barw. Na uwagę zasługuje też muzyka, z wpadającym w ucho tematem z czołówki na czele, skomponowana przez Waldemara Kazaneckiego.

W 2013 roku, z okazji 40-lecia serialu, grający w nim aktorzy spotkali się w Rytwianach, gdzie powstały dwa pierwsze odcinki i gdzie we wspomnianym klasztorze można zwiedzać muzeum poświęcone „Czarnym chmurom". Przybyli Leonard Pietraszak i Ryszard Pietruski, nie zabrakło Elżbiety Starosteckiej i Anny Seniuk.

Pierwszy z dziesięciu odcinków „Czarnych chmur" pokazano w 1973 r., dzień przed Wigilią. Serial z miejsca skradł serca widzów w każdym wieku.

- Po emisji dostałem mnóstwo listów od matek, dziękujących mi, że ich dzieci pod wpływem serialu zmieniły się na lepsze. Wszyscy chłopcy chcieli być tacy jak Krzysztof - wspominał Pietraszak, co tylko dowodzi, że serial spełnił swoją rozrywkową, ale i edukacyjną misję.

eprasa.pl 7650a3d8f2

OTO TERMINATOR, TWÓJ NAJLEPSZY PRZYJACIEL

Nigdy nie zawiedzie, zawsze obroni i niczego nie będzie żądał w zamian. Pojawił się w kinie 3 lipca 1991 r. jako T-800 w filmie Jamesa Camerona „Terminator 2: Dzień sądu"

Mariusz Grabowski

Mylą się ci, którzy traktują „Terminatora 2" jako kolejną bajkę z gatunku sf. To zakamuflowany traktat o przyjaźni, tym bardziej pożądanej, że bezinteresownej i ofiarnej aż do końca. Co z tego, że spełnianej przez maszynę.

Niczym Prometeusz

Czy James Cameron był świadom, że niechcący nakręcił moralitet? W jednym z wywiadów dla „Variety" z lipca 1991 r. przyznał, że filozoficzny wątek w „Terminatorze 2" nie był do końca przypadkowy. „Motyw poświęcenia jest głęboko zakorzeniony w kulturze antycznej i chrześcijańskiej" – tłumaczył. To sedno moralności, a wszak Terminator poświęca swoje istnienie nie w wyniku zaprogramowania, ale dokonując świadomego wyboru.

Skąd pomysł, aby maszyna zachowała się niczym heros albo święty? Odpowiedzi trzeba szukać u autora scenariusza „Terminatora" – Williama Wishera Jr. Rzadko udziela wywiadów, ale w 2017 r. zgodził się na krótki interview dla internetowego magazynu undertheradarmag.com. Z interesującego nas wątku warto zacytować następujący fragment: „Przecież odwiecznym marzeniem ludzkości jest postulat miłości doskonałej. Powiedziałem Jamesowi (Cameronowi), że T-800, z twarzą Arnolda Schwarzennegera, to taki Prometeusz epoki techno. Śmiał się, ale zgodził się ze mną".

Z życia krytyków

Prometeusz, Antygona, Ifigenia, a w chrześcijaństwie Chrystus i jego uczniowie. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich" – mówi Zbawiciel w Ewangelii św. Jana. Terminator nie cytuje Pisma, w ogóle jest mało gadatliwy (w Terminatorze" powiedział zaledwie 65 słów, w „Terminatorze 2" 700), ale gdy nadchodzi stosowny moment, wypełnia swoją misję aż do końca.

Gilbert Adair, brytyjski pisarz, dziennikarz i krytyk, który doczekał się lekko prześmiewczego miana „największego wroga Terminatora", był doskonałym przykładem kogoś, kto nie chciał tego dostrzec. Gdy w 1984 r. w kinach pojawił się „Terminator 1" Adair nazwał go filmem „odrażającym do ostatniego stopnia". Gdy siedem lat później debiutował „Terminator 2", wzburzenie Adaira tylko się wzmogło. Tym razem zarzucił filmowi „atrakcyjność zakorzenioną w bezbożnej mieszance faszyzmu i mody".

A przecież Gilbert Adair potrafił być bardzo spostrzegawczy, a nawet wyrafinowany. W jego CV stoi, że dostał nagrodę za opracowanie angielskiej wersji powieści Georges'a Pereca „A Void", w której ani razu nie zostaje użyta litera „e". Z kolei w 2001 r. wydał biografię chłopca, który zainspirował Tomasza Manna do napisania powieści „Śmierć w Wenecji" – „The Real Tadzio".

Nowy św. Paweł

Być może niedostrzeganie wątków etycznych w popkulturze wynika z jej wszechogarniającej miałkości. W zalewie tandety ofiarny gest T-800 z „Terminatora 2" faktycznie może umknąć moralistom. A jeśli nawet coś zauważą, zwykle nie mają tyle szczęścia co nieprzejednany Adair.

Podajmy przykład: w 1994 r., po premierze „Pulp Fiction" Quentina Tarantino, grupa filozofów ze Stanfordu, podpisująca się akronimem GORGIAS, wypuściła w uczelnianej sieci internetowej tekst „St. Paul Lives on Screen". Wedle postawionej przez nich tezy jeden z bohaterów filmu – Jules Winnfield, grany przez Samuela L. Jacksona – to współczesny nawrócony Szaweł, rzucony w świat rządzony przez Księcia Ciemności. Tylko on, dowodzili, w oceanie nihilizmu potrafi odczytać Boże znaki. Do tego stopnia, że rzuca gangsterkę i zaczyna patrzeć na swoje życie inaczej – nie jak na łańcuch zleceń i krwawych egzekucji, lecz jako drogę czynienia dobra na skutek imperatywu moralnego.

Ten dość oryginalny tekst obrósł dziś tyloma interpretacjami i komentarzami, że na forach kinomaniaków stał się niemalże legendą. Ale po protestach i zamieszkach z udziałem ruchu Black Lives Matter, które przetoczyły się przez amerykańskie oraz zachodnie uczelnie w 2020 r. zniknął i cytowany bywa zwykle z drugiej ręki.

Gdzie jest Bóg?

Wróćmy do „Terminatora 2" i związanych z nim wątków etycznych. Na stronie KulturaDobra.pl, reklamującej się jako „Przewodnik dla rodzin chrześcijańskich po świecie filmu", znaleźć można takie oto przemyślenia: „Produkcja ma też swoje bardziej wyraźne i pozytywne lekcje moralne. Jednym z takowych plusów jest tu wskazanie na to, iż ludzie jako posiadający dar wolnej woli, mogą kształtować swą przyszłość, w związku z czym zło i tragedie, jakie mogą nadejść, nie są absolutnie nieuchronne".

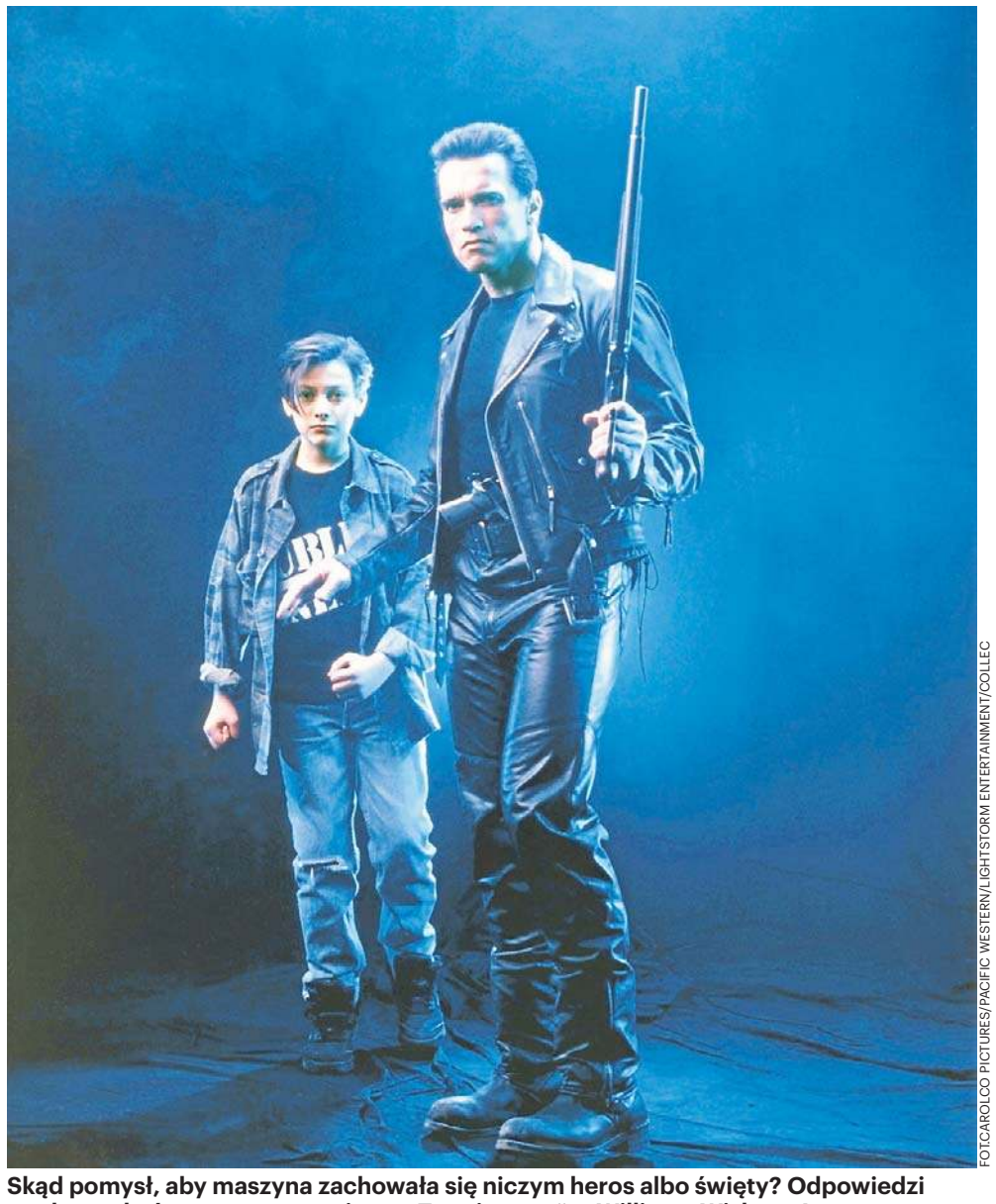

FOTCAROLCO PICTURES/PACIFIC WESTERN/LIGHTSTORM ENTERTAINMENT/COLLEC

Skąd pomysł, aby maszyna zachowała się niczym heros albo święty? Odpowiedzi trzeba szukać u autora scenariusza „Terminatora" – Williama Wishera Jr.

Dalej: „Co prawda, jako że w filmie tym nie ma wzmianek o Panu Bogu, podana wyżej prawda jest niepełna przez to, iż nie uwzględnia Bożej wszechwiedzy i tego, iż np. prorocy mogą w imieniu Bożym, w sposób pewny przepowiadać pewne złe wydarzenia, nie zaprzeczając przy tym ludzkiej wolności (gdyż Bóg po prostu wie, jakich ludzie dokonają wyborów)".

I wreszcie: „»Terminator 2« co prawda nie neguje wiary w Stwórcę, ale pomija ją milczeniem, przez co podejrzenie o wyrażanie w nim tendencji świeckiego humanizmu wydaje się dość zasadne".

Czy ty myślisz?

To ciekawe, że autorzy tego tekstu nie stawiają nasuwających się automatycznie pytań: skoro w filmie nie ma wzmianek o Panu Bogu, dlaczego terminator zdecydował się na dokonanie całopalnej? Jakim kierował się kodeksem etycznym? Skąd wreszcie w maszynie wziął się taki ładunek empatii? Przecież zadanie, jakie otrzymał od Johna Connora mówiło jedynie o „ochronie jego młodszego wcielenia".

Na to pytania nie ma odpowiedzi. Na szczęście, bo przecież „Terminator 2" to przede wszystkim popkulturowa rozrywka, Podszyta, w przeciwieństwie do filozofii i teologii, sporą dawką łatwo przyswajalnej psychologii. Spójrzmy na bohaterów i relacje między nimi. Kino akcji tu zespolono z sentymentalną opowieścią o potrzebie prawdziwej przyjaźni. Mamy samotną matkę, chłopaka tęskniącego za nigdy niezaznaną ojcowską miłością, w końcu robota, który nieoczekiwanie zostaje uczłowieczony.

Na to kładzie się motyw nieprawdopodobnej, ale chwytającej za serce relacji, który wspaniale kontrastuje z beznadzieją świata. Jeśli dodamy do tego niebezpieczeństwo w postaci diabolicznego T-1000, który potrafi przyjąć kształt i wygląd każdego trwałego ciała stałego, można zrozumieć jakim emocjonalnym naciskom poddany zostaje widz.

Rozumiesz?

A może cały wątek ofiary jest zwykłą ściemą? Może Cameron i Wisher wstawili do filmu scenę z poświęceniem się Terminatora ot tak, bo pasowała to do finału? A całą gadkę o głębszych motywach Terminatora dodali ex post? Przecież niewiele wcześniej między bohaterami filmu toczy się taki oto dialog:

Terminator: „Dlaczego płaczecie?"

John Connor: „Mówisz o ludziach?"

Terminator: „Tak"

John Connor: „Nie wiem. Po prostu. Kiedy boli"

Terminator: „Ból to powoduje?"

John Connor: „Nie. Czasem wszystko jest w porządku, ale i tak ci źle. Rozumiesz?"

Terminator: „Nie".

Trudno uwierzyć, że ten sam Terminator ma się bezpowrotnie rozpuścić w bani z płynną surówką w imię jakiejś wyższej racji. Bezduszny, blaszany byt, który nie ma szans na choćby najmniejszą abstrakcyjną iskrę w swych obwodach scalonych.

Będzie dobrze...

Jedna z ostatnich kwestii filmu brzmi: „Pędzi ku nam nieznana przyszłość. Po raz pierwszy czekam na nią z nadzieją w sercu. Bo jeśli maszyna, Terminator, potrafiła docenić wartość ludzkiego życia, może i nam się to uda". Taniocha tego tekstu aż razi, ale cóż z tego, skoro od 1991 r. świetnie spełnia swoją rolę.

Można iść o zakład, że np. wśród twórców AI odsetek oglądaczy serii o Terminatorze jest znacząco większy, niż w przypadku innych zawodów. Można być też pewnym, że Schwarzenegger nigdy nie wygrałby w 2003 r. wyborów na gubernatora Kalifornii, gdyby nie jego najdłuższa w historii polityki kampania reklamowa na ekranach.

Śledząc perypetie T-800 i zaopiekowanych przezeń Connorów czujemy się więc pocieszeni, że jeszcze nie wszystko stracone. A nawet w jakiś sposób dowartościowani faktem, że maszyna może być szlachetniejsza niż człowiek. Czy to nie idealna konstatacja dla wszystkich wakacjuszy kinomanów leżących właśnie plackiem na rozgrzanej od słońca plaży?

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

Są aktorami jednej roli, która przyniosła im wielką popularność. Potem bywało różnie. Część zrezygnowała z aktorstwa, inni nie doczekali się kolejnych propozycji. Co ciekawe, aktorami jednej roli są najczęściej kobiety.

Anna Gronczewska

GWIAZDY, KTÓRE OLŚNIŁY WSZYSTKICH, ALE ROZBŁYSŁY TYLKO RAZ

Daleko od szosy" to jeden z najpopularniejszych polskich seriali. Anię, wielką miłość, a potem żonę Leszka Góreckiego, zagrała łodzianka Irena Szewczyk. Gdy dostała tę propozycję, miała 29 lat, a rok wcześniej skończyła łódzką Szkołę Filmową. „Daleko od szosy" nie było jej filmowym debiutem. Oglądaliśmy ją między innymi w „Rzeczpospolitej Babskiej" czy „Milionie za Laurę". Do „Daleko od szosy" trafiła przez zdjęcia próbne.

- Cieszyłam się, że to serial - opowiadała w latach siedemdziesiątych „Dziennikowi Łódzkiemu" Irena Szewczyk. - Ale nie zastanowiłam się nad tym, że po pierwszym, drugim odcinku przyjdzie trzeci, szósty. W ciągu jednego dnia będę grać maturzystkę i matkę. Trzeba było się szybko przeistaczać. Dla mnie wszystko działo się w ciągu kilku miesięcy, od stycznia do lipca. Najbardziej bałam się trzeciego odcinka. Był to moment, w którym zaczynałam konkurować z Bronką, do niej widzowie się już przyzwyczaili.

FOT. TVP

Maryna, dziewczyna Janosika, była pierwszą poważną rolą Ewy Lemańskiej, a zarazem ostatnią. Po roli Maryny nie dostała w zasadzie żadnej satysfakcjonującej propozycji. Grała jeszcze w warszawskich teatrach. W 1980 roku wyjechała z Polski

FOT. TVP

Jolanta Żółkowska i Krzysztof Kołbasiuk byli parą nie tylko na planie serialu „Dom". Basia Lawinówna była pierwszą i ostatnią głośną rolą filmową aktorki

Dwa śluby Ani

Irena Szewczyk, która była wtedy aktorką łódzkiego Teatru Nowego, mówiła że przenosiła wiele zachowań ze swego prywatnego życia do życia Ani, i odwrotnie.

- Mój prywatny ślub odbył się na tydzień przed filmowym - zdradzała. - W filmie dostaję pierścionek od ojca, we własnym - od teściowej.

Co ciekawe, tą teściową była nieżyjąca już Krystyna Bobrowska, zasłużona dla łódzkiej kultury, wieloletnia prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

Irena Szewczyk przyznawała „Dziennikowi Łódzkiemu", że prywatnie nie jest tak dalekosiężna jak jej bohaterka.

- Boję się tego co będzie za tydzień, miesiąc, a Ania jest dzielna - wyjaśniała. - Podejmuje niełatwą decyzję, choć wie, że może liczyć tylko na siebie i Leszka.

Rola Ani przyniosła jej wielka popularność.

- Miła pani w sklepie z gospodarstwem domowym obiecała odłożyć mi komplet zagranicznych garnków, gdy jej powiem jak skończy się serial - mówiła „Dziennikowi" Irena Szewczyk.

W 1978 roku wyjechała z Łodzi. Zaczęła grać w warszawskich teatrach, ale w 1984 roku powróciła do rodzinnego miasta i Teatru Nowego. W 1994 roku pożegnała się z aktorstwem. Wyszła drugi raz za mąż. Skończyła pedagogikę na Uniwersytecie Łódzkim. Obroniła doktorat, zrobiła habilitację. Dziś jest profesorem nadzwyczajnym łódzkiej uczelni. Dr hab. Irena Szewczyk-Kowalewska wykładała na wydziale Pedagogiki Przedszkolnej i Wczesnoszkolnej Uniwersytetu Łódzkiego.

Nel wybiera muzykę

Aktorskiej kariery nie zrobiła też Monika Rosca, pamiętna Nel z pierwszej wersji „W pustyni i puszczy". Kiedy ogłoszono casting do tego filmu, zgłosiło się 10 tysięcy dziewczynek. Nel została 8-letnia Monica Rosca z Łodzi. Jak potem pokazało życie, „W pustyni i puszczy" było pierwszym i ostatnim filmem, w którym zagrała. W jej życiu film przegrał z muzyką.

Urodzona w Łodzi w 1961 roku Monika pochodzi z polsko-rumuńskiej rodziny. Nazwisko Rosca zawdzięcza swojemu tacie Feliksowi, który pochodził z Rumunii. Pewnie nigdy nie pojawiłaby się na planie „W pustyni i puszczy", gdyby nie dyrektor szkoły muzycznej, do której chodziła. To on podsunął kandydaturę Moniki filmowcom. Tak dziewczynka pojawiła się na zdjęciach próbnych, przechodząc kolejne eliminacje, by w końcu zapadła decyzja, że zagra Nel. Monica Rosca wspominała po latach, że zdjęcia próbne trwały pół roku.

- Często jeździłyśmy z mamą z Łodzi do Warszawy, mieszkałyśmy w hotelu, to była dla mnie niezapomniana przygoda - opowiadała Monika Rosca. - Początkowo zakładano, że Nel będzie nieco starsza, ale w końcu wybrano właśnie mnie. Tak samo Tomek Mędrzak grający Stasia podobał się od razu producentom, którzy stwierdzili, że wyjątkowo dobrana z nas para.

Monika Rosca wspomina „W pustyni i w puszczy" jako niezapomnianą przygodę.

- Dzięki doświadczeniom z planu, nieźle się zahartowałam - śmieje się dziś Monika, wspominając filmową przygodę. - Kiedy ma się 9 lat i trzeba jeździć na koniu, słoniu czy wielbłądzie, długi czas siedzieć na drzewie, znosić upał lub kąpać w zimnej wodzie, to ma się już odporność na całe życie!

„W pustyni i w puszczy" przyniosło ogromną popularność Monice Rosce i Tomaszowi Mędrzakowi. Monika przyznawała, że ona i Tomek w ciągu zaledwie kilku dni stali się gwiazdami.

- Ludzie nie dawali nam spokojnie przejść na ulicy, prosili o autografy - wspominała. - Dniami i nocami stukali do drzwi naszych mieszkań, a telefon dzwonił niemal non stop.

Monika Rosca została pianistką. Pierwszy raz koncertowała mając 13 lat, trzy lata później zdobyła nagrodę publiczności na konkursie we Włoszech. Z wyróżnieniem skończyła łódzką Akademię Muzyczną. Została adiunktem u nieżyjącego już prof. Tadeusza Chmielewskiego. Dostała stypendium towarzystwa im. Fryderyka Chopina. Wydała płyty z nagraniami utworów Bacha, Mozarta i Beethovena. Dziś, tak jak Tomasz Mędrzak, mieszka w Warszawie, wiele koncentruje. Między innymi kilka lat była na kontrakcie w Japonii. Po latach razem z Tomaszem Mędrzakiem odwiedzili Egipt, miejsce gdzie kręcono „W pustyni i puszczy".

Dziewczyna Janosika

Któż nie pamięta Maryny, dziewczyny Janosika? Grała ją Ewa Lemańska, wtedy jedna z najpiękniejszych polskich aktorek. Urodziła się w 1949 roku w Łodzi, tu skończyła Szkołę Filmową. Maryna była jej pierwszą

eprasa.pl 7650a3d8f2

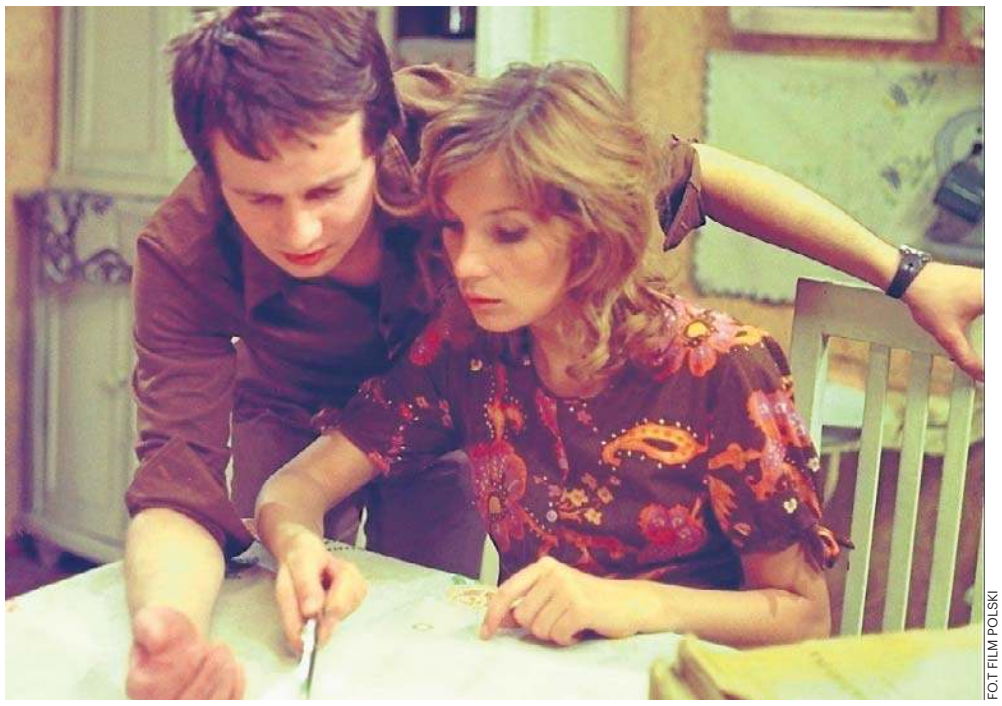

FOT. FILM POLSKI

Irena Szewczyk po roli w „Daleko od szosy" nie zrobiła kariery aktorskiej

FOT. ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO

Grażyna Staniszewska po roli Danusi w Krzyżakach nie dostała dobrych propozycji

poważną rolą, a zarazem ostatnią. Przypomnijmy, że przystojnego Janosika grał Marek Perepeczko. Uchodzili za idealną parę, plotkowano, że na planie zbliżyli się do siebie, ale Ewa Lemańska zapewniała, że nic takiego nie miało miejsca.

- Marek był przyjacielem mojego męża, bronił mnie przed pomysłami innych panów - wyjaśniała w „Pytaniu na śniadanie". - To była porządna przyjaźń.

Po roli Maryny nie dostała w zasadzie żadnej poważnej propozycji. Grała wtedy głównie w warszawskich teatrach, a w 1980 roku zdecydowała się wyjechać z Polski. Wtedy też rozwiodła się z pierwszym mężem Cezarym Kaplińskim.

Najpierw mieszkała we Francji, potem wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Zaczęła pracować jako modelka. Nie znała dobrze angielskiego, więc nie mogła powrócić do aktorstwa. Pozostała jej rola statystki. W USA wyszła drugi raz za mąż za Olgierda Roycewicza. Zostali rodzicami dwóch synów: Alexa i Briana, obaj zajmują się grafiką komputerową. Związek z Olgierdem rozpadł się po 14 latach. Ewa Lemańska po raz trzeci wyszła za mąż za Anglika Jamesa Rooneya, ale i to małżeństwo się rozpadło.

W 1998 roku mieszkająca na Florydzie aktorka dowiedziała się, że jest chora na raka. Na szczęście udało się jej pokonać nowotwór piersi. Po kilku latach nastąpił nawrót choroby. U Ewy Lemańskiej stwierdzono guza w mózgu, a także czerniaka na palcu u nogi. Palec trzeba było amputować.

- Na szczęście nie mam żadnych przerzutów, a węzły chłonne są wolne od komórek nowotworowych - mówiła dziennikarzom podczas pobytu w Polsce. - Mimo to cały czas jestem pod opieką onkologiczną. Znów wygrałam z rakiem, ale już myślałam, że będę musiała się zbierać na tamten świat.

Pewnie pod wpływem tych przeżyć aktorka skończyła szkołę pielęgniarską, została opiekunką medyczną. Dziś Ewa Lemańska jest na emeryturze i dalej mieszka na Florydzie.

Danusia i Krzyżacy

Dla Grażyny Staniszewskiej i Urszuli Modrzyńskiej „Krzyżacy" byli pierwszym wielkim i tak naprawdę ostatnim w karierze. Zagrały jego główne bohaterki - Danusię i Jagienkę.

Grażyna Staniszewska pochodziła z Łodzi, urodziła się tu 23 lipca 1936 roku, w tym roku obchodziłaby 90. urodziny. Miała 24 lata, gdy Aleksander Ford zaproponował jej rolę Danusi Jurandówny. Reżyserowi zależało, by wielką miłość Zbyszka z Bogdańca zagrała piękna, ale nieznana aktorka. Wybrał Grażynę Staniszewską.

- Danusia musiała mieć jakąś twarz, czyjąś sylwetkę - mówiła potem w wywiadzie aktorka. - Użyczyłam jej swojej i na tym właściwie kończył się mój aktorski wkład. Ford niczego nie narzucał, odzywał się tylko, gdy był z czegoś niezadowolony.

Tłumy Polaków poszły do kina na „Krzyżaków", ale aktorka nie otrzymywała propozycji filmowych. Podobny los spotkał innych aktorów, mówiło się o „klątwie" ciążącej nad filmem. Jeszcze w 1989 roku zagrała w „Lawie" Tadeusza Konwickiego i zakończyła swoją aktorską przygodę.

- Najbliższe są mi role żony, matki, babci i widza, bo jestem z gatunku tak zwanych kur domowych - mówiła przed laty Grażyna Staniszewska. - Poza tym... nie ma na mnie zapotrzebowania. Zamiast więc grać drugie skrzypce lub zadowalać się byle czym, wolę zostać w domu.

Była już wtedy żoną profesora Wojciecha Noszczyka, znanego chirurga. Urodziło się im dwoje dzieci: Bartłomiej i Maria. Oboje zostali lekarzami. Syn specjalizuje się w chirurgii plastycznej, a córka jest dermatologiem. Grażyna Staniszewska zmarła w 2018 roku w Warszawie.

Tragiczna historia Jagienki

Kariery nie zrobiła też Urszula Modrzyńska, która w „Krzyżakach" zagrała Jagienkę. Urodziła się w 1928 roku we wsi Srebniki, w województwie kujawsko-pomorskim. Jej starsza o 10 lat siostra Helena wygrała jeszcze przed wojną konkurs piękności „Tygodnika Filmowego" i została żoną znanego aktora Tadeusza Fijewskiego. To właśnie Tadeusz namówił Urszulę, by została aktorką. Nie kończyła szkoły teatralnej, zdała eksternistyczny egzamin aktorski. Grała w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu, poznańskim Teatrze Nowym. W Poznaniu zagrała w „Mieszczanach" Maksyma Gorkiego. Jej partnerem był młody aktor Zbigniew Józefowicz. Już jako małżeństwo wyjechali do Łodzi i tu osiedli. Zaczęli występować w Teatrze im. Jaracza. Małżeństwo doczekało się syna Stasia.

- Muszę sama zajmować się domem, bo o dobrą gosposię w Łodzi jest równie trudno jak wszędzie w Polsce - mówiła aktorka w wywiadzie dla „Filmu". - Sama gotuję, palę w piecu.

Urszula Modrzyńska miała 31 lat, gdy w 1959 roku Aleksander Ford zaproponował jej rolę Jagienki w „Krzyżakach". Był to dla niej trudny czas, bo na trzy miesiące wyjechała z Łodzi na plan „Krzyżaków". Tęskniła za synem.

- Długo nie przyjmę nowej oferty! - mówiła po zakończeniu zdjęć.

Niestety, niedługo po premierze „Krzyżaków" Urszula Modrzyńska poważnie zachorowała.

- Wydawało się, że świat legł u jej stóp, lecz, jak to się często zdarza w aktorskim życiu, olbrzymia popularność obróciła się przeciw niej - przekonywał w wywiadzie dla „Dziennika Łódzkiego" jej mąż Zbigniew Józefowicz. - Leczenie trwało trzy miesiące. Reżyser Kazimierz Dejmek zaprosił ją do udziału w „Trzech siostrach", które reżyserował w łódzkim Teatrze Nowym. Dejmek jednak na tyle cenił Urszulę, że przesunął premierę spektaklu na kolejny sezon. W tym czasie odwrócił się od niej film.

Nie wiadomo na co zachorowała aktorka. Rodzina tego nie podała. Przez 24 lata żoną troskliwie opiekował się Zbigniew Józefowicz. Urszula Modrzyńska miała problemy z pamięcią, żyła w swoim świecie. W 1986 roku oficjalnie zrezygnowała z aktorstwa. Zmarła w 2010 roku.

Basia Lawinówna

Aktorką jednej roli można nazwać Jolantę Żółkowską, niezapomnianą Basię Lawinównę z serialu „Dom". Urodziła się w 1955 roku w Siedlcach. Po maturze poszła w ślady swojej starszej o pięć lat siostry Joanny. Po studiach w PWST w Warszawie dostała angaż do warszawskiego Teatru Na Woli. Jego dyrektorem był Tadeusz Łomnicki. W tym teatrze spotkała przystojnego aktora Krzysztofa Kołbasiuka. W tym czasie był mężem grającej w tym samym teatrze Doroty Stalińskiej.

Jolanta Żółkowska zagrała w serialu „Dom", którego reżyserem był Jan Łomnicki, brat Tadeusza.

Aktorka była jedną z głównych bohaterek pierwszej serii serialu. Grała Basię Lawinównę, łączniczkę z Powstania Warszawskiego, która szukała swojej powstańczej miłości, poety Łukasza Zbożnego. Grał go Krzysztof Kołbasiuk. To na planie „Domu" miała się rozwinąć ich miłość. Krzysztof Kołbasiuk rozwiódł się z Dorotą Stalińską i związał z Jolantą Żółkowską. Para doczekała się syna Kamila, który dziś jest artystą plastykiem.

Rola Basi Lawinówny nie spowodowała, że aktorka została zarzucona propozycjami. Zresztą niedługo po premierze „Domu" wprowadzono stan wojenny, który był dla aktorów ciężkim czasem. Jolanta Żółkowska postawiła na macierzyństwo.

Grała jeszcze w Teatrze Na Woli, ale w serialach i filmach występowała sporadycznie, w epizodycznych rolach.

W 2006 roku aktorkę spotkało nieszczęście. Zmarł nagle jej partner Krzysztof Kołbasiuk.

- Trudno pogodzić się z taką tragedią - mówiła w wywiadzie. - Nie mam żalu do losu. Wszystko, co w życiu zrobiłam, było po coś. Trzeba pogodzić się z tym, że często nie mamy wpływu na to, co się stanie. Spędziliśmy razem wiele cudownych lat. U jego boku przeżyłam najpiękniejsze chwile mojego życia.

Jolanta Żółkowska jest teraz związana z warszawskim Klubem Kultury Seniora.

FOT. FILM POLSKI

Monika Rosca pożegnała się z filmem po roli Nel, zrobiła za to karierę jako pianistka

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

TOMEK LIPIŃSKI: NIE CHCĘ BYĆ ZAKŁADNIKIEM SWOJEJ PRZESZŁOŚCI

To prawdziwa legenda polskiego rocka: znamy go przede wszystkim z ponadczasowych piosenek zespołów Tilt i Brygada Kryzys. Teraz na rynek księgarski trafiły jego wspomnienia – „Jeszcze będzie przepięknie" i „Jeszcze będzie normalnie". W rozmowie z nami zdradza, dlaczego ostatnio wygasił swą muzyczną działalność

Paweł Gzyl

Do tej pory opowiadałeś nam o sobie za sprawą swych piosenek. Co sprawiło, że postanowiłeś teraz zrobić to szerzej w postaci aż dwutomowej autobiografii?
To, co odsłaniam w piosenkach, to niewielki fragment mojego życia. Kończę w tym roku 71 lat - i chcesz tego czy nie, to moment, w którym myśli się o rzeczach ostatecznych i o tym, co zostawisz po sobie. Gdyby pozostały po mnie tylko piosenki, to byłby obraz niepełny i przez to fałszywy. Dlatego postanowiłem sam napisać o sobie. Im dłużej żyję i słucham opowieści ludzi o tym, jak to kiedyś było, to mam coraz mocniejsze wrażenie, że nie zgadza się to z moim doświadczeniem. Nie mówię tu oczywiście, że to moje doświadczenie jest prawdziwe, a innych są nieprawdziwe. Wydaje mi się tylko, że nie ma jednej obiektywnej wersji historii, tylko mozaika jej subiektywnych wersji. Kiedy sobie to uświadomiłem, uznałem, że mam potrzebę opowiedzenia o czasie, na który przypadło życie mojego pokolenia.

Czyli urodzonych w połowie lat 50.?
Tak. To pokolenie największego powojennego wyżu demograficznego, którego udziałem stało się niezwykłe doświadczenie. Wchodząc w życie, witaliśmy pierwsze czarno-białe telewizory, a odchodząc teraz - zostawiamy kompletnie inny świat. Czyli za naszego życia rzeczywistość przeszła od czegoś, co przypominało XIX wiek do współczesności rodem z filmów sciencefiction. Chciałem też i o tym napisać.

Kiedy zacząłeś pracę nad autobiografią?
Sześć lat temu. Jeden z moich fanów dokonał wtedy niezwykłej rzeczy: pracowicie przeskanował internet i różne inne źródła - i obdarował mnie plikiem tekstowym, w którym było wszystko, co zaistniało w przestrzeni publicznej na mój temat. Kiedy zacząłem to czytać, okazało się, że co najmniej trzy czwarte nie pokrywa się z rzeczywistością. Wtedy pomyślałem sobie, że skoro w epoce internetu taki ogrom informacji jest niezgodny z rzeczywistością, to jak zafałszowany musiał być wcześniej. A to oznacza, że cały obraz historii, jaki mamy, jest w ogromnym stopniu fikcją. To był kolejny impuls, żeby spisać swoją historię.

W jednym z ostatnich wywiadów powiedziałeś: „Pisanie autobiografii jest czymś znacznie trudniejszym, niż się na początku wydaje". Co to oznacza?
To pisanie było najtrudniejsze z psychologicznych przyczyn. Przez wiele lat nie do końca znałem historię mojego przyjścia na świat. Ani mama, ani tata nigdy nie chcieli za bardzo o tym rozmawiać. Wiedziałem tylko z grubsza co się wydarzyło: że mama miała romans z żonatym mężczyzną i zaszła z nim w ciążę. Choć tata zażądał aborcji, mama postanowiła mnie urodzić. Dokładnie opisała to na kilka lat przed swoją śmiercią w 2017 roku w prywatnych notatkach. Dotarłem do tych wspomnień, kiedy jej już nie było na tym świecie. Zapoznanie się z nimi było dla mnie emocjonalnym wstrząsem.

Nic dziwnego: życie twoich rodziców było mocno naznaczone wojenną traumą.
Ojca losy generalnie znałem dobrze, bo napisał kilka biograficznych książek, które później zostały zebrane i wydane przez Iskry w postaci kompletnego tomu wspomnień. I tam są jego okupacyjne perypetie - łącznie z rocznym pobytem w Auschwitz. Natomiast losy mojej mamy były dla mnie niemal kompletnie nieznane. Dopiero z tych wspomnień dowiedziałem się, jaka była jej młodość. Kiedy wybuchła wojna, miała 13 lat, więc dojrzewała w najtrudniejszym czasie. Doświadczyła śmierci ojca, głodu, zimna, biedy, wstrząsających dla mnie rzeczy. Zapoznanie się z jej zapiskami było dla mnie szokiem.

Wojenna trauma twoich rodziców miała na ciebie wpływ?
Dzisiaj już wiadomo, że traumę rodziców dziedziczy się na różne sposoby. Przede wszystkim w genach. Jako rodzice przekazujemy w ten sposób swe najbardziej dramatyczne przeżycia kolejnym pokoleniom. Dziedziczymy też traumę poprzez wychowanie. Całe moje pokolenie to ludzie, których rodzice przetrwali wojnę i wyszli z niej z przeżyciami, jakich nawet nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Czyli dorosłość, która się w nich kształtowała, była napiętnowana doświadczeniem wojennym. Dziś powiedzielibyśmy, że byli dotknięci syndromem PTSD - tymczasem wtedy nie było najmniejszych szans, aby ktokolwiek im w tym pomógł. Byli pozostawieni sami sobie, a na dodatek musieli odbudowywać kraj, który dostał się pod sowiecką okupację. Kiedy pytałem się wielu osób z mojego pokolenia czy jako dzieci byli bici przez rodziców, w stu procentach słyszałem, że tak. Czyli nasi rodzice, nie dając sobie rady z własną traumą, krzywdzili nas w swej bezradności.

Poznałeś ojca mając osiem lat, a potem był on obecny w twoim życiu tylko okazjonalnie. To dlatego od dziecka byłeś swego rodzaju outsiderem?
Dzisiaj na sto procent zdiagnozowano by u mnie spektrum autyzmu. Zawsze czułem się źle psychicznie, zawsze byłem nieszczęśliwy. Od dziecka unikałem rówieśników, wolałem bawić się i czytać w domu, zamykałem się w swoim świecie. To w jakimś stopniu na pewno efekt tego, co moja mama przeżyła w ciąży ze mną. Głodowała, marzła, mieszkała w malutkim i nieogrzewanym pokoju, gdzie zimą włosy przymarzały jej do ściany. Nie lepiej było, kiedy przyszedłem na świat. Mieszkaliśmy w Laskach, kątem u obcych ludzi, nie mieliśmy węgla, bo mama nie dostała pozwolenia na jego zakup, ponieważ nie była nigdzie zameldowana. A nie była nigdzie zameldowana, bo uciekła od męża-alkoholika i musiała się tułać po różnych domach. Dlatego początkowo żyliśmy w tragicznych warunkach. Podczas mojej pierwszej zimy, mama suszyła pieluszki ciepłem swego ciała, a mleko podgrzewała nad światłem świecy.

To tam widzisz źródło swej późniejszej depresji?
Także tam. Te wszystkie przeżycia wybiły we mnie, kiedy kończyłem 40 lat, jako nawrotowa i lekooporna depresja. Dowiedziałem się po latach, że choć mój ojciec pracował jako satyryk i był postrzegany powszechnie jako człowiek rozśmieszający innych, też miał ciężką depresję, którą ukrywał przed światem. Od lat próbuję prześwietlić i zrozumieć tę chorobę, żeby pomimo jej lekooporności, dawać sobie z nią radę. Kiedy po 2000 roku uderzyła ze zdwojoną siłą, przeszedłem przez prawdziwy koszmar. Gdyby nie wiedza, którą zaczerpnąłem z nauk buddyjskich, a mówiąca, że śmierć nie jest końcem i zadanie jej sobie z własnej ręki przynosi jeszcze większe cierpienia, to pewnie bym dzisiaj już nie żył. Teraz, napisawszy te dwie książki, w jakiś sposób uwolniłem się od ciężaru tego wszystkiego. Dzięki temu dzisiaj jestem w stanie całkowicie spokojnie o tym rozmawiać, choćby podczas spotkań autorskich - i to jest coś najcenniejszego, co z tego wyniosłem.

Jako syn Eryka Lipińskiego mogłeś zostać beneficjentem komunistycznego systemu - tymczasem ty od początku ustawiłeś się do niego w kontrze. Skąd wynikała ta przekora?
Tych oportunistów w moim pokoleniu nie było dużo. Ja za takich zdeklarowanych uważam środowisko Ordynackiej - czyli Kwaśniewskiego czy Czarzastego. To byli technokraci, którzy zdawali sobie sprawę, że koniec PRL-u jest bliski, ale póki on istnieje, to można go wykorzystać jako trampolinę do przyszłych karier. Ja nigdy nie myślałem o robieniu kariery, więc nie miałem takich motywacji. Co najważniejsze, mama bardzo się starała wychować mnie na przyzwoitego człowieka. I chyba trochę się jej udało. Elementarna uczciwość jest dla mnie szalenie ważna. Jako osoba neuroatypowa nie potrafię pewnych rzeczy: skutecznie kłamać czy cynicznie kierować się własnym interesem. Co ciekawe: my, pokolenie demograficznego wyżu, odbieraliśmy komunistyczny system jako obcy, nieprzyjazny i szkodliwy. Oczywiście od urodzenia byliśmy nauczeni składania mu pewnych danin - jak występ na szkolnej akademii z wierszem o Leninie. Ale odczuwaliśmy to jako opresję. Momentami była ona zresztą wręcz namacalna: będąc nastolatkiem, nie można było wieczorem przejść spokojnie ulicami Warszawy, nie będąc zatrzymywanym przez milicyjne patrole. Wchodząc więc w dorosłe życie, odczuwaliśmy PRL jako wrogi nam system.

Jak to się stało, że znalazłeś wyraz dla tych frustracji w rock and rollu?
W 1965 roku byłem na wakacjach u wujka w Pucku. Tam poszliśmy z kuzynkami na film z Beatlesami - „A Hard Day's Night". Wyszedłem z tego kina z poczuciem, że nagle moje życie ma sens. Wszystkie te czerwone flagi, pierwszomajowe akademie, ględzący Gomułka, przestało mieć znaczenie. Bo oto tu gdzieś na świecie pojawiła się nowa kultura: młodzi ludzie wyglądający inaczej i śpiewający inaczej. To była rewolucja. W latach 60. wydarzyło się coś, co ja w skrócie definiuję tak, że do tamtego momentu dzieci ubierano jak dorosłych, a od tamtego momentu dorośli zaczęli się ubierać jak dzieci. Potem pojawiły się środki antykoncepcyjne i magiczne substancje, jak LSD, co wywarło ogromny wpływ na cały ówczesny świat, na obyczajowość, na kulturę i sztukę. Ten skok cywilizacyjny okazał się tak ogromny, że był nie do zaakceptowania przez naszych rodziców. To automatycznie ustawiło moje pokolenie w opozycji do ich pokolenia.

Kiedy zacząłeś grać rocka?
Od chwili, kiedy obejrzałem „A Hard Day's Night", marzyłem, żeby założyć własny zespół. Chciałem się więc uczyć muzyki. Mama dała temu odpór, mówiąc: „Mieszkamy w 24-metrowym mieszkaniu i tu nie ma gdzie postawić stołu, a co dopiero pianina". Postanowiłem się więc uczyć sam. Do Europy zaczęła wtedy docierać muzyka z całego świata - z Indii, z Afryki czy z Karaibów. Najpierw nauczyłem się grać na harmonijce ustnej, a potem na instrumentach perkusyjnych. Dopiero w liceum sięgnąłem po gitarę. To była całkowicie samodzielna i intuicyjna wędrówka, niczym podróż w nieznaną galaktykę.

eprasa.pl 7650a3d8f2

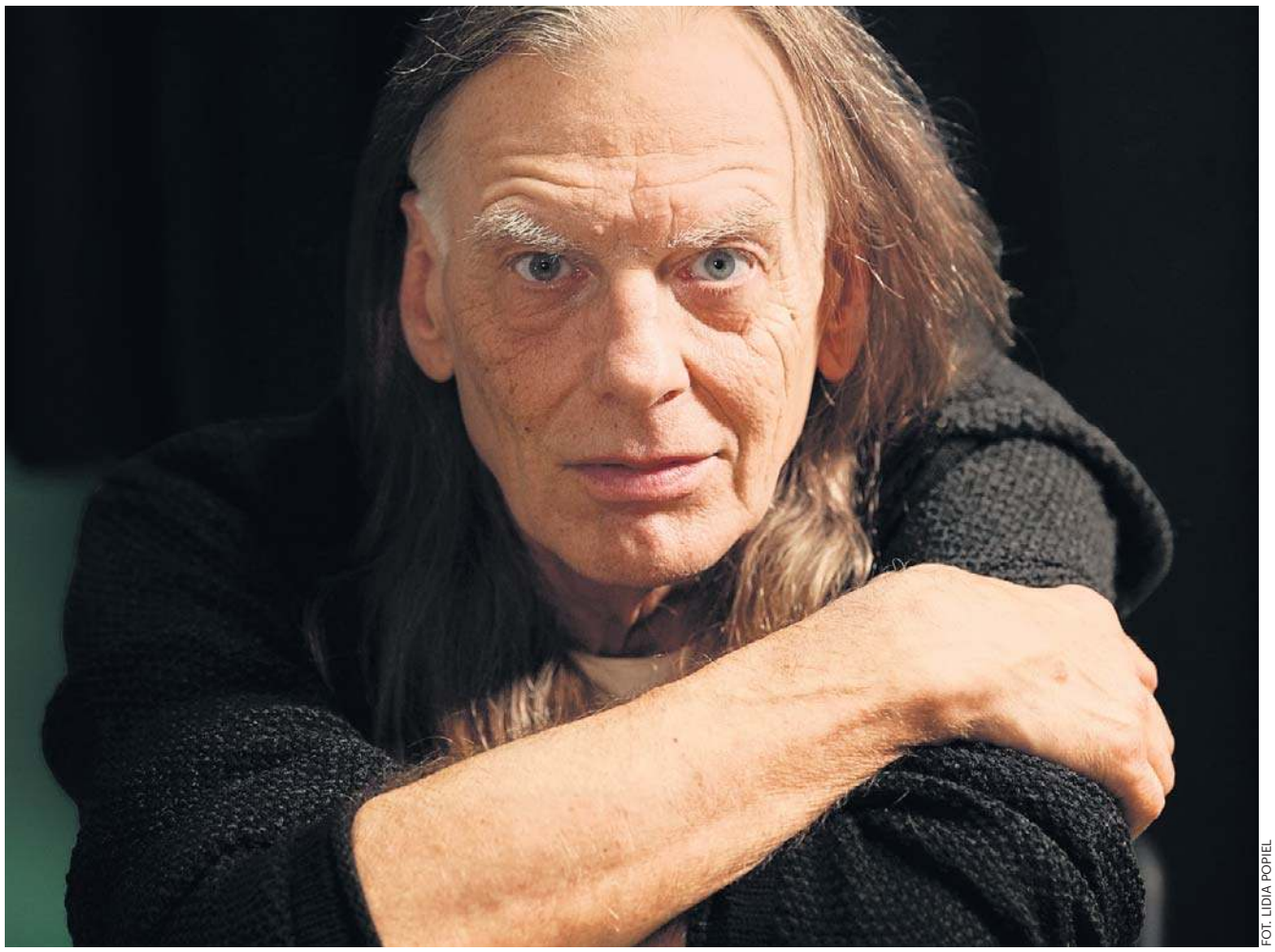

FOT. LIDIA POPIEL

Tomek Lipiński: Jako rodzice przekazujemy w ten sposób swe najbardziej dramatyczne przeżycia kolejnym pokoleniom. Dziedziczymy też traumę poprzez wychowanie

W połowie lat 70. pojawił się punk, będący powrotem do prostoty rock and rolla z lat 60. To dlatego zrobił na tobie tak duże wrażenie i dał impuls do założenia Tiltu?
Rock był dla mojego pokolenia takim ówczesnym internetem. To z piosenek ulubionych zespołów dowiadywaliśmy się, jak nasi rówieśnicy na Zachodzie myślą, co mówią, jak się ubierają. I bardzo chcieliśmy być częścią tamtej kultury. Kiedy ktoś dostał płytę z Zachodu, spotykaliśmy się, by z nabożeństwem słuchać jej z wypiekami na twarzach. To był tak istotny element naszego życia, że bez niego bylibyśmy komsomolcami. Niestety: w pewnym momencie gwiazdy rocka dołączyły do świata milionerów i zaczęły tworzyć wydumane suity, oderwane od rzeczywistości. Moje skromne umiejętności gry na gitarze i śpiewania nie pozwalały mi robić czegoś podobnego. Podobnie odczuwało wielu innych młodych ludzi w tamtym czasie. I wtedy pojawiło się coś, co prasa amerykańska nazwała punkiem: wspaniałe zespoły, których umiejętności były podobne do moich, a tworzyły fantastyczne piosenki. Weźmy brytyjską grupę Wire i jej album „Pink Flag" z 1977 roku. Tam są tylko dwa akordy – a jest to jedna z najwspanialszych płyt w historii rocka. Kiedy to usłyszałem, ośmieliłem się tworzyć własne piosenki i założyć zespół. Oczywiście zgadzało się to pokoleniowo: Joe Strummer z The Clash był zaledwie dwa lata starszy ode mnie, a John Lydon z Sex Pistols o rok młodszy. Punk był pokazaniem środkowego palca tym wielkim gwiazdom rocka i robieniem nowej sztuki: muzyki, mody, grafiki, literatury.

Dla wielu fanów polskiego rocka jesteś przede wszystkim współtwórcą genialnych piosenek Brygady Kryzys. To był efekt twojej współpracy z nieżyjącym już dziś Robertem Brylewskim. Na czym polegała wyjątkowość waszej artystycznej relacji?
Na magii. Czasem się tak zdarza, że ludzie spotykają się i powstaje z tego jakaś dodatkowa jakość, która nie jest sumą ich osobnych twórczości, tylko czymś zupełnie nowym. I tak było w tym przypadku. Byliśmy jak dwugłowy, czteroręki i czteronogi potwór – komunikowaliśmy się niemal telepatycznie. To była nieprawdopodobna synchronizacja. Robert urodził się w 1961 roku, był więc 6 lat młodszy ode mnie. Kiedy zaczęliśmy grać w 1981 roku, miał zaledwie 20 lat, był więc właściwie dzieciakiem. Ja jako starszy, miałem w głowie trochę więcej muzyki, której on jeszcze nie zdążył usłyszeć, z kolei on miał w sobie młodzieńczą świeżość i bezczelność. To sprawiło, że dopasowaliśmy się do siebie jak dwa klocki lego.

Brygada Kryzys szła ja burza do przodu – i wszystko przeciął stan wojenny. Co by było, gdyby nie generał Jaruzelski?
Kto wie? Myślę, że stworzylibyśmy wtedy dużo więcej muzyki. Bo nawet mimo stanu wojennego, pisaliśmy kolejne piosenki, choć to wszystko traciło sens. Pierwsza płyta Brygady Kryzys była tak niesamowita w dużym stopniu dlatego, że zdecydowałem się zaangażować jazzowego perkusistę – Janka Rołta. Dzięki niemu, nasze piosenki nabrały swingowego rytmu. Polscy rockowi bębniarze wtedy nie umieli tak grać. Niestety: Janek był uzależniony od heroiny. Po nagraniu płyty gdzieś przepadł. Nie mieliśmy więc perkusisty i Brygada rozpadła się w tym pierwszym okresie. Kiedy po ponad pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego władze odblokowały kluby, zaangażowaliśmy punkowego bębniarza Gogo Szulca (czyli Tomka Kożuchowskiego) z grupy TZN Xenna i zagraliśmy cztery koncerty pod rząd w stołecznym klubie Riviera-Remont. To jednak już nie było to. Nie dało się więc kontynuować tego, co osiągnęliśmy na naszej płycie. Popatrzyliśmy wtedy na siebie z Robertem i powiedzieliśmy: „Może kiedyś".

Robert założył wówczas Izrael i zaczął grać reggae. Ciebie nie ciągnęło w tę stronę?
Kiedy rozpadła się Brygada Kryzys, wraz z Robertem, Jarkiem „Gruszką" Ptasińskim i Pawłem „Kelnerem" Rozwadowskim założyliśmy zespół Aurora, który miał grać eksperymentalną muzykę. Zamienialiśmy się instrumentami, improwizowaliśmy, wykorzystywaliśmy nagrania z taśm. Ale ponieważ w tym czasie „zaszedłem w ciążę" i czekałem na dziecko, moje myśli zaczęły krążyć wokół innych spraw. Przestałem więc przychodzić na próby. A oni wpadli na pomysł, że będą grali reggae i założyli Izrael. Mijaliśmy się jednak w klubie Hybrydy, bo oni mieli jedną kanciapę, a ja drugą. Przychodziłem tam od czasu do czasu i też zacząłem pisać piosenki reggae. Kiedy Izrael wyruszył w pierwszą trasę koncertową, występowałem tam z Tomkiem „Rastamanem" Szczecińskim jako Goście w Podróży. Nie byłem jednak rastafarianinem i nie chciałem być stałym członkiem Izraela. Pomyślałem więc, żeby wykonywać te piosenki na czadowo.

Reaktywowałeś wtedy Tilt, ale z czasem zwróciłeś się w stronę nowofalowego popu. Nabrałeś apetytu na komercyjny sukces?
Tak to wygląda, ale przyczyna była zupełnie inna. Kiedy reaktywowałem Tilt w 1983 roku z Gogo Szulcem na perkusji i freejazzowym saksofonistą Alkiem Koreckim, graliśmy czadowe piosenki w możliwie jak najszybszych tempach. Na nasz koncert w klubie Medyk przyszli bardzo młodzi adepci punka, wystylizowani na wzór zdjęć z zachodniej prasy, w glanach, w naćwiekowanych skórach, z irokezami na głowach. Za ich sprawą wydarzyło się kilka ekscesów: ktoś kogoś pobił, ktoś kogoś okradł, było sępienie na bełty. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Obawiałem się, że jak się to do mnie przyklei, to się potem nie odklei. Znałem historię brytyjskiej kapeli Sham 69, na koncerty której zaczęli przychodzić skinheadzi-naziści, od których potem zespół nie mógł się nijak uwolnić. Dlatego zdecydowałem, że pójdę inną drogą i będę robił zupełnie inną muzykę, dla szerszej publiczności.

Takie piosenki Tiltu, jak „Runął już ostatni mur", „Mówię ci że", „Rzeka miłości" czy „Jeszcze będzie przepięknie" stały się przebojami. Nie poszedłeś jednak za ciosem.
Kiedy nagraliśmy materiał na debiutancki album Tiltu, nagle wycofał się nam wydawca. Naszemu menedżerowi Piotrowi Nagłowskiemu zajęło dwa lata znalezienie nowego. Gdy Tonpress wreszcie wydał naszą płytę, zespół już nie istniał. Spotkałem wtedy perkusistę Jarka Szlagowskiego, z którym wpadliśmy na pomysł założenia nowej grupy. Zaangażowaliśmy basistę Marcina Ciempiela i powołaliśmy do życia Fotoness. To był zespół z trzema liderami – i nie skończyło się to dla niego dobrze. Rafał Paczkowski, producent muzyczny płyty, tak bardzo się z nią utożsamił, że dograł do naszych piosenek mnóstwo klawiszy. W efekcie efekt końcowy zupełnie nie przypominał pierwotnego projektu.

Po upadku komuny w 1989 roku otworzyły się możliwości budowania kariery na nowych zasadach, tymczasem ty zacząłeś inną pracę: najpierw w dużym koncernie płytowym, potem w radiu i prasie. Dlaczego nie postawiłeś zdecydowanie i jednoznacznie na tworzenie muzyki?
Miałem dwoje małych dzieci. W 1990 roku rynek koncertowy zamarł. Zostaliśmy więc wszyscy bez dochodu. Musiałem utrzymać rodzinę, zająłem więc czymś innym. Pracowałem krótko w pubie, pisałem wraz z Piotrem Nagłowskim raporty marketingowe dla Międzynarodowej Federacji Przemysłu Fonograficznego, a kiedy Piotr został szefem polskiego oddziału BMG Ariola, zaproponował mi stanowisko swego zastępcy. Byłem wtedy pełen wiary w wolny rynek i kapitalizm, ale szybko się rozczarowałem.

Dlaczego?
Do moich zadań należało między innymi szukanie polskich artystów, których płyty moglibyśmy wydawać. Od Macieja Pilarczyka dostałem kasetę VHS z występem telewizyjnym grupy Varius Manx, do którego dołączyła właśnie Anita Lipnicka. Uznałem, że ma to ogromny potencjał i zaproponowałem szefom z Monachium wydanie ich płyty. Niestety: Niemcy zareagowali twardym „Nein!". Argumentowali, że wcześniej Varius Manx wydał już dwa albumy i nie odniosły one sukcesu. Nie byli w stanie zrozumieć, że z Anitą to inny zespół i inna muzyka. Było dla mnie tak wielkim rozczarowaniem, że ostatecznie zrezygnowałem z bycia biznesmenem i nagrałem dosyć dziwną, solową płytę – „Nie pytaj mnie".

Twoi koledzy z post-punkowej sceny lat 80., jak Kazik Staszewski czy Muniek Staszczyk, odnieśli w nowej Polsce duży sukces. Ty nie przegapiłeś swojej szansy?
Kazik miał dwa świetne strzały: najpierw rapową płytę „Spalam się", a potem album z piosenkami swego ojca – „Tata Kazika". Z kolei Muniek z T.Love nakręcił genialny teledysk do świetnej piosenki „Chłopaki nie płaczą", który był grany w telewizji na okrągło. A ja najpierw koncentrowałem się na wychowaniu moich dwóch córek, a potem dopadła mnie depresja.

W ostatnich latach właściwie wygasiłeś swą działalność koncertową i nagraniową. Dlaczego?
Miałem świetny zespół, ale coraz trudniej było z graniem koncertów. Lokalni organizatorzy, wywodzący się z młodszych pokoleń, często nie wiedzieli, kim jestem. Wypadłem więc z obiegu koncertowego. Coraz mniej też pisałem nowych piosenek. Pod koniec roku 2024 miałem wypadek na rowerze, po którym musiałem uczyć się chodzić na nowo i którego konsekwencje wciąż odczuwam. Bardzo mnie to zmieniło. Mogę powiedzieć, że właściwie stałem się innym człowiekiem. Okazało się, że mam wokół wspaniałą rodzinę i przyjaciół, którzy otoczyli mnie serdeczną opieką i wspierali w najtrudniejszych chwilach. To cenniejsze od wszystkich zawodowych sukcesów.

Jak zatem widzisz swoją przyszłość?
Nie rozstałem się z muzyką do końca. Gitary leżą pod ręką i nie narzekają na brak dźwięków. W Trójmieście jest wielu wspaniałych muzyków, którzy namawiają mnie na wspólne granie. Na razie zupełnie nie wiem co by to miało być. Na pewno nie chcę odcinać kuponów od tego, co do tej pory zrobiłem, bo już mnie to nudzi, choć wiem, że tak całkiem tego nie uniknę. Nie chcę jednak być zakładnikiem swojej przeszłości. Czas pokaże.

eprasa.pl 7650a3d8f2

Gazeta Lubuska
Piątek, 3.07.2026

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński

Jak Mieroszewski kształtował relacje współczesne Polski i Ukrainy

Zacząłem tę książkę czytać, gdy wybuchł orderowy spór między Ukrainą i Polską o „bohaterów UPA". Choć od dawna było czuć po stronie Kijowa ciepłe emocje wokół Bandery, to do tej pory otwartych konfliktów na tym polu udawało się uniknąć. Aż do teraz. W piątym roku wojny ukraińsko-rosyjskiej nagle Polska musi tłumaczyć, że banderyzm to nie jest dobry pomysł na szukanie porozumienia między Kijowem i Warszawą. Co gorsza, Kijów nie za bardzo chce te argumenty przyjmować do wiadomości. Kryzys, jakiego jeszcze nie było.

Nie było, bo nigdy tak ostro kwestia nacjonalizmu ukraińskiego w naszych relacjach nie wybrzmiała. Ale też nie za bardzo kiedy miała wybrzmieć. Ukraina jako państwo w pełni niezależne zaczęła istnieć dopiero w 1991 r. Długo tkwiła w rozwoju zależnym od Rosji, własną podmiotowość akcentuje mniej więcej od Pomarańczowej Rewolucji z 2004 r. Nie za bardzo kiedy było na poważnie rozmawiać o tak drażliwych kwestiach. A takie dyskusje zawsze trwają. Właśnie ten proces się rozpoczął – może przynajmniej taki promyk nadziei w tym ponurym w sumie temacie.

Natomiast wracając do książki. Rymuje się ona z tymi wszystkim zdarzeniami z ostatnich kilkunastu dni w ten sposób, że pokazuje jej kontekst. Bo kwestia podmiotowości Ukrainy w praktycznym, politycznym tych słów znaczeniu zaczęła być ustalana dopiero w tym wieku. Ale teoretyczna debata o jej znaczeniu, o potrzebie jej wzmocnienia zaczęła się kilkadziesiąt lat temu. A jej prekursorem był m.in. Juliusz Mieroszewski.

Książka Macieja Łuczaka to jego biografia. To historia jego długiego, 70-letniego życia, ale przede wszystkim opowieść o tym, w jaki sposób Polska myślała (i jak to myślenie ewoluowało) o wielkiej spuściźnie, jakie pozostawiła po sobie Rzeczpospolita.

Mieroszewski był, obok Jerzego Giedroycia, jednym z liderów środowiska paryskiej „Kultury". I człowiekiem o wyrazistych poglądach. W swojej publicystyce jasno podkreślał, że Polska – by naprawdę realnie myśleć o własnej niezależności – musi też działać w kierunku niepodległości Ukrainy, Białorusi, Litwy, będących wtedy częścią ZSRR. Ale – to ciąg dalszy koncepcji Mieroszewskiego – o tych państwach nie należy myśleć w kategoriach przedrozbiorowych, tylko jako suwerennych, niepodległych, podmiotowych krajach. Właśnie teraz to obserwujemy. Najlepiej to pokazuje, jak dalekosiężnie Mieroszewski umiał myśleć.

Maciej Łuczak „Pragmatyczny wizjoner. Rzecz o Juliuszu Mieroszewskim", wyd. Centrum Mieroszewskiego, Warszawa 2026, cena 40 zł

Czy na odsetkach da się zarobić

Lichwę potępiano w Biblii. Czy zawsze zarabianie na odsetkach było źle postrzegane? Autor opisuje dzieje procenta od zysków jako premię od czasu.
Edward Chancellor „Cena czasu. Prawdziwa historia odsetek", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 109,99 zł

Trudne decyzje wybitnego grafika

Kazimierz Mann był wybitnym grafikiem, ale też postacią kontrowersyjną – w czasie wojny publikował m.in. w niemieckich gazetach, po wojnie skazano go za kolaborację. Tu poznajemy jego prace.
Anna Lebensztejn „Kazimierz Mann", wyd. Bosz, Lesko 2026, cena 139,90 zł

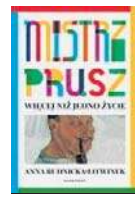

Żywot człowieka niekonwencjonalnego

Opowieść o Tadeuszu Pruszkowskim, artyście i publicyście, którego uważa się za współtwórcę nowoczesnego oblicza Kazimierza Dolnego.
Anna Rudnicka-Litwinek „Mistrz Prusz. Więcej niż jedno życie", wyd. Marginesy, Warszawa 2026, cena 89,99 zł

Skłodowska-Curie. Prekursorka feminizmu

Najnowsza biografia Skłodowskiej-Curie. Autorka przedstawia ją nie jako ikonę nauki, ale także – a może przede wszystkim – jako ikonę feminizmu.
Angelika Kuźniak „Skłodowska-Curie. Rebeliantka", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 79,90 zł

Specyfika życia mafii widziana od kuchni

Autor słynnej „Gomorry" powraca do tematu włoskiej mafii. W tej książce z reporterską precyzją opisuje specyfikę jej codzienności. Dużo w tym przemocy, seksu, hazardu.
Roberto Saviano „Należymy do siebie", wyd. Sonia Draga, Katowice 2026, cena 54,90 zł

Klimat niczym z „Wściekłych psów"

Roberto Bolano to najbardziej znany współczesny pisarz z Chile. Ta książka to jego opus magnum. Dwutomowa powieść pełna latynoskiej brutalności przemieszczanej z literacką wrażliwością.
Roberto Bolano „2666", wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 119 zł

Cena sławy, jaką zapłaciła Britney

Autor tej książki to dziennikarz, który karierze Britney Spears przyglądał się z bliska od czasu „...Baby One More Time". Teraz dzieli się tym, co zobaczył.
Jeff Weiss „Czekając na Britney Spears. Podobno prawdziwa historia", wyd. Agora, Warszawa 2026, cena 65 zł

Przechodząc z jednego świata do drugiego

Dylemat: co czuje młoda Żydówka, przechodząc na katolicyzm? Takie wybory w Polsce przedwojennej były częste.
Karen Auerbach „Nocny motyl. Katolicka kobieta i jej żydowska rodzina w Warszawie na przełomie XIX i XX wieku", wyd. Osnova, Warszawa 2026, cena 89 zł

Walka o Gotham City ciągle trwa

Ciąg dalszy sagi „Ziemia niczyja". Batman – po roku spokoju – znów musi walczyć o ocalenie Gotham City.
Greg Rucka, Ed Brubaker, Chuck Dixon, Shawn Martinbrough, Steve Mitchell „Batman. Nowe Gotham", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 199,99 zł

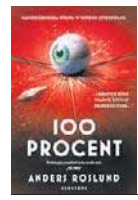

100% mroku ze Skandynawii

„Człowiek całe życie czeka na śmierć, a kiedy ona przychodzi, ta chwila trwa bardzo krótko" – próbka stylu pisarskiego autora tego mrocznego kryminału. 100 proc. skandynawskiego mroku.
Anders Roslund „100 procent", wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 49,99 zł

Jak przetrwać w uniwersum przemocy

To niezupełnie książka. Stanowi ona element gry fabularnej, którą tworzy tajemniczy Zogarth. Zaprasza nas do uniwersum pełnego przemocy i pierwotnych atawizmów. Miejsca, gdzie nie każdy przetrwa.
Zogarth „Primal Hunter", wyd. Insignis, Kraków 2026, cena 79,99 zł

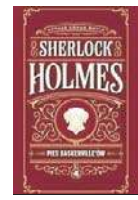

Fundament mitu Sherlocka Holmesa

Wznowienie powieści Conan Doyle'a. „Pies Baskerville`ów" wylał fundament pod nieśmiertelny mit Holmesa. Jeśli ktoś chce go zrozumieć, powinien zacząć od tej powieści.
Artur Conan Doyle „Sherlock Holmes. Pies Baskerville`ów", wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 49,99 zł

Jak szybko i smacznie ugotować w domu

Książka kulinarna znanego blogera. Ponad 1000 najróżniejszych przepisów, które łączy jedno: można je łatwo przygotować w domu. Sporo eksperymentów, ale też nie brakuje sprawdzonych klasyków.
Bartosz Kopica „Zróbcie se... bo petarda", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 89,99 zł

Dzieci nie gęsi i swoje kryminały mają

Skoro cały świat kocha czytać kryminały, to dlaczego nie mogą tego robić dzieci? Autorka tej serii wyszła z tego założenia i stworzyła serię o detektywie Wiewiórze. W tym tomie szuka on pawia.
Agnieszka Stelmaszyk „Detektyw Alfred Wiewiór i bezcenny paw", wyd. Wilga, Warszawa 2026, cena 29,99 zł

Co boli grabki, wiaderko i łopatkę?

Furorę zrobiły książeczki o życiu własnym skarpetek, które giną w praniu. Tutaj z kolei główne role grają zabawki, które ktoś zapomniał zabrać z piaskownicy. Bo okazuje się, że grabki, wiaderki i łopatka tęsknią za swoimi właścicielami.
Katarzyna Kazimierowska „Grabki", wyd. Widnokrąg, Piaseczno 2026, cena 48 zł

Samuraj kontra żołnierze yakuzy

Komiksowa historia samuraja Takeo, który krąży po średniowiecznej Japonii. Szukając brata, wpada na członków yakuzy wymuszających haracze. Takeo nie umie przejść obok tego obojętnie.
Di Jean-François Giorgio, Frédéric Genet „Samuraj", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 119,99 zł

eprasa.pl 7650a3d8f2

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne lub nekrolog?
Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

NASZE BIURA OGŁOSZEŃ

ZIELONA GÓRA al. Niepodległości 25
czynne pon.-pt. 8.00-15.00
tel. 510 026 518
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

GORZÓW WLKP. ul. Sikorskiego 111 (Park 111, II p.)
czynne pon.-pt. 8.00-16.00
tel. 510 026 986
e-mail: bog.gazetalubuska@polskapress.pl

SŁUBICE ul. T. Kościuszki 6/1
czynne pon.-pt. 8.30-16.30
tel. 95 75 80 760
e-mail: bos@gazetalubuska.pl

RUBRYKI I PODRUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH

NIERUCHOMOŚCI
- mieszkania - sprzedam
- mieszkania - kupię
- mieszkania - do wynajęcia
- mieszkania - wynajmę
- mieszkania - zamienię
- domy - sprzedam
- domy - kupię
- domy - do wynajęcia
- domy - wynajmę
- domy - zamienię
- lokale użytkowe - sprzedam
- lokale użytkowe - kupię
- lokale użytkowe - do wynajęcia
- lokale użytkowe - wynajmę
- lokale użytkowe - zamienię
- działki, grunty - sprzedam
- działki, grunty - kupię
- gospodarstwa
- garaże
- pośrednictwo
- inne
- bank stancji

HANDLOWE
- AGD
- RTV
- elektronika, komputery
- telefony
- car audio
- antyki
- kolekcjonerstwo, sztuka
- jubilerstwo
- filmy, muzyka
- foto, książki
- instrumenty muzyczne
- lombardy
- sport i rekreacja
- maszyny urządzenia
- materiały budowlane
- materiały opałowe
- tekstylia, odzież
- dla dziecka
- meble
- inne

MOTORYZACJA
- samochody osobowe
- ciężarowe, dostawcze
- busy autobusy
- rolnicze
- przyczepy, naczepy
- zabytkowe
- uszkodzone, rozbite
- motocykle
- części i akcesoria
- zamienię
- motofinanse
- motousługi
- inne

FINANSE BIZNES
- kredyty, pożyczki
- usługi finansowe
- usługi prawne
- biura rachunkowe
- ubezpieczenia
- oferty
- inne

NAUKA
- szkoły
- kursy/szkolenia
- języki obce
- korepetycje
- inne

PRACA
- zatrudnię
- urzędy pracy
- szukam pracy
- inne

ZDROWIE
- apteki
- pomoc całodobowa
- chirurgia
- ginekologia
- interna
- neurologia
- pediatria
- psychologia
- psychiatria
- stomatologia
- urologia
- inne specjalizacje
- przychodnie, kliniki
- laboratoria
- zabiegi
- opieka
- sprzęt medyczny
- uroda
- inne

USŁUGI
- agd rtv foto
- budowlano-remontowe
- instalacyjne
- biurowo - projektowe
- komputerowe
- krawiectwo
- montażowe
- ogrodnicze
- porządkowe
- przeprowadzki
- reklamowe
- stolarskie
- radio taxi
- transportowe
- rozrywka
- uroczystości
- zabezpieczające
- inne

TURYSTYKA
- agroturystyka
- kraj
- świat
- biura podróży
- obozy i kolonie
- wycieczki
- przewozy
- inne

ZWIERZĘTA
- lecznice
- usługi
- inne

MATRYMONIALNE

RÓŻNE

KOMUNIKATY

ŻYCZENIA/PODZIĘKOWANIA

GASTRONOMIA
- dania na telefon
- usługi
- inne

ROLNICZE
- maszyny rolnicze
- ogrodnictwo
- płody rolne
- zwierzęta hodowlane
- inne

TOWARZYSKIE

USŁUGI KAMIENIARSKIE

USŁUGI POGRZEBOWE

0011549193

Ze smutkiem zawiadamiamy, że dnia 29 czerwca 2026 r.
w wieku 94 lat zmarł
nasz Ojciec, Teść, Dziadek i Pradziadek

ś†p

Władysław Sadowski

Uroczystości pogrzebowe odbędą się
w sobotę 4 lipca 2026 r. w Zielonej Górze.
Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona
o godz. 8.00 w kościele
pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela
(al. Niepodległości 28).
Pogrzeb będzie miał miejsce
na Starym Cmentarzu Komunalnym
(ul. Wrocławska 68A):
godz. 9.30 wystawienie urny w kaplicy cmentarnej,
godz. 9.50 rozpoczęcie modlitwy,
godz. 10.00 wyprowadzenie urny z kaplicy do grobu.

Pogrążona w smutku
rodzina

0011549327

„Jest taka miłość, która daje siłę żyć,
Jest taka miłość, która daje skrzydła, aby być,
To miłość mamy, której nie zastąpi nic”.

Ze smutkiem zawiadamiamy,
że 1 lipca 2026 roku odeszła od nas
w wieku 96 lat
nasza kochana Mama, Babcia i Prababcia

ś†p

Czesława Dziub

Pogrzeb odbędzie się
we wtorek, 7 lipca 2026 roku o godz. 11.50
na Starym cmentarzu komunalnym
przy ul. Wrocławskiej w Zielonej Górze.
Pożegnanie w kaplicy o godz. 11.20.

Pogrążona w żałobie
rodzina

REKLAMA 0011546788

INFORMATOR POGRZEBOWY

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY
Zielona Góra, Masarska 13,
tel. **68-3202235, 68-3202232,** przewóz zwłok,
kompleksowa obsługa pogrzebów **601798365** całą dobę.

KAMIŃSCY Zielona Góra, ul. Kościelna 4, Zyty 19,
tel. **693 424 440; 68-3230509** oraz Polkowice ul. Spokojna 1;
Legnica ul. Chojnowska 7; Szprotawa ul. Kościuszki 31A
przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja
pogrzebów oraz transmisja pogrzebu online.

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. **95-7810083**
Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24 h.

AUTOREKLAMA
ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Kondolencje i nekrologi
w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0011459133
ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606
Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem
Cenimy Twój czas!
Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

Nieruchomości

DOMY - SPRZEDAM

POZNAŃ Grunwald 300m^2 500 619 633

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

FUNDUSZPOŻYCZKOWY
oferuje pożyczki do 300 tys. zł
na 60m-cy, oprocentowanie
od 5,30%, bez żadnych
dodatkowych opłat i prowizji
na cele związane z rozwojem
działalności gospodarczej na
terenie Województwa Lubuskiego.
Źródło finansowania: Europejski
Fundusz Rozwoju Regionalnego UE
i Zarząd Województwa Lubuskiego
Tel. kontaktowy +48 600 052 223,
k.joachimczak@ecdf.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

PRACA fizyczna, mężczyźni do 45 lat do przyuczenia lub pomocnik, Zielona Góra tel. 608 325 228

PRZYJMĘ do pracy na parkingu strzeżonym w Zielonej Górze-Pana na emeryturze, kontakt 608 520 490

AUTOREKLAMA
ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: **ibo.polskapress.pl**

SZUKAM PRACY

ZAOPIEKUJĘ się starszym Panem. Pomogę w codziennych obowiązkach: sprzątaniu, gotowaniu, zakupach i innych pracach domowych. Jestem mobilna. Tel. 669 225 923.

Usługi

MONTAŻOWE

OKNA, bramy drzwi, roletki, naprawy okien, montaż PlastMat. Tel. 68 470 19 70, Wrocławska 35.

OKNA- rolety. Montaż- regulacja- naprawa. Ptasia 32/7B, tel. 535 530 555

PORZĄDKOWE

WYWÓZ odpadów wyburzenia, 665-225-085.

INNE

STUDNIE głębinowe. Tel. 883 982 224

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1050zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DZIWNÓW. Pokoje blisko morza. Tel. 91-3813204.

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

MIĘDZYZDROJE. Pokoje blisko morza. Tel. 885113871.

Matrymonialne

EMERYT pozna szczupłą Panią po sześćdziesiątce. tel. 666 220 470.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,, 668-571-329

eprasa.pl 7650a3d8f2

Krzyżówka panoramiczna

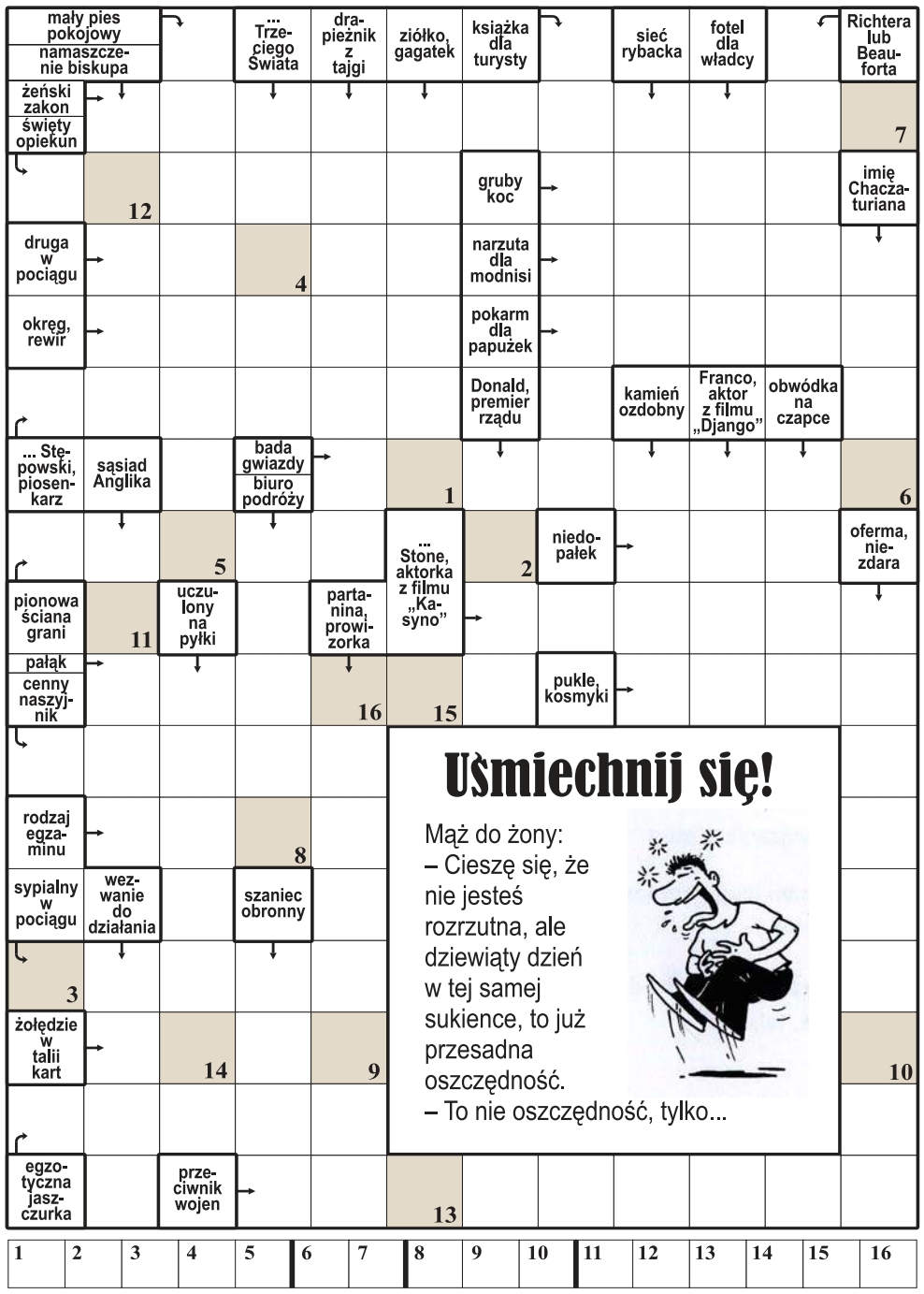

Uśmiechnij się!

Mąż do żony:
– Cieszę się, że nie jesteś rozrzutna, ale dziewiąty dzień w tej samej sukience, to już przesadna oszczędność.
– To nie oszczędność, tylko...

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 16, utworzą rozwiązanie: dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

A) „Przystanek ...", amerykański serial telewizyjny (6).
B) hazardowa gra w karty (7).
C) dziwak, oryginał (5).
D) śpiewak w cerkwi (4).
E) polewa na rondlu (6).
F) gwałtowne mowy oskarżycielskie (8).
G) trzecia litera greckiego alfabetu (5).
H) filmowy musical Miloša Formana (4).
I) duże jezioro w Finlandii (5).
J) namiot na mongolskim stepie (5).
K) jednostka walutowa Angoli jak rzeka (6).
L) samosąd na Dzikim Zachodzie (5).
Ł) mazowieckie miasto nad Toczną (6).
M) wyraz twarzy, mars (4).
N) robocze zebranie u szefa (6).
O) zwierzę podobne do żyrafy z dorzecza Konga (5).
P) popularna komedia Józefa Blizińskiego (3,6).
R) film z rolami Dustina Hoffmana i Toma Cruise (4,3).
S) dziewczynka wśród niebieskich ludzkików (9).
T) odmiana delfina żyjący na półkuli południowej (5).
U) wyspa przybrzeżna na Bałtyku (5).
W) branie udziału w wojnie; służba żołnierska (8).
Z) przeszkoda na drodze, bariera (6).
Ż) urazy, pretensje (4).

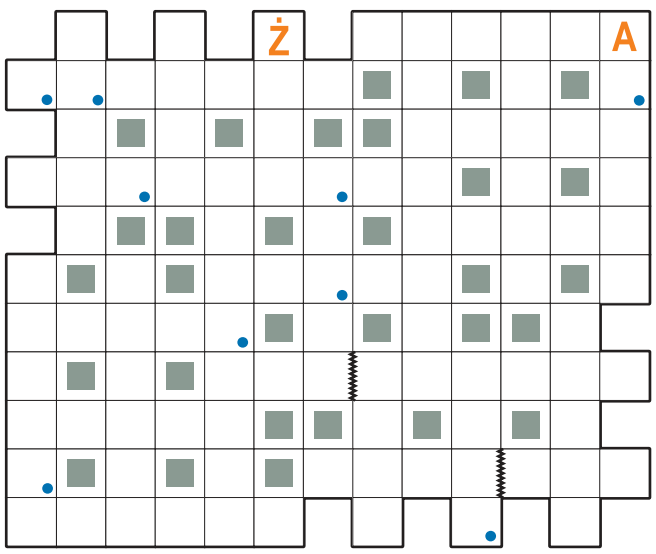

Krzyżówka z hasłem

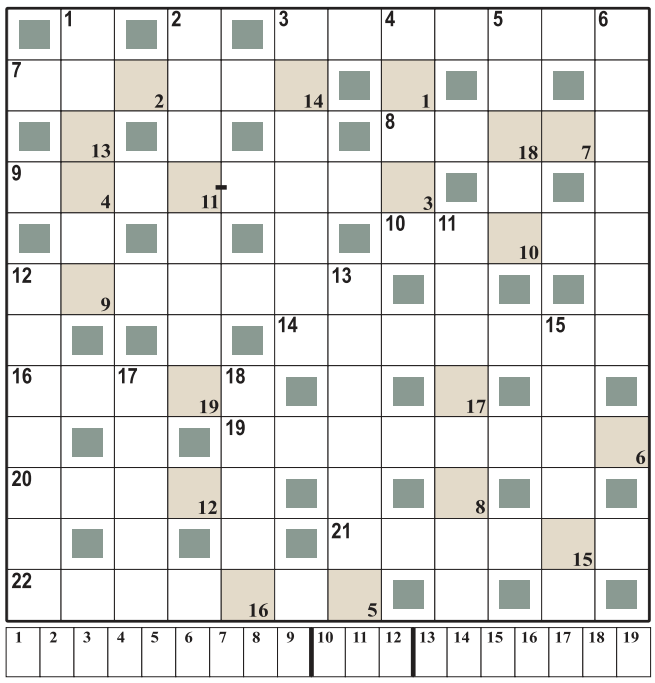

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 19, utworzą rozwiązanie: aforyzm Włodzimierza Ścisłowskiego.

Poziomo:
3) hazardowa gra w karty,
7) czerwona lub cukrowa,
8) w egipskim sarkofagu,
9) niedobór witaminy B1,
10) próbnik kosmiczny,
12) pieprz turecki,
14) minerał zwany wezuwianem,
16) nożyk, scyzoryk,
19) rdzenny Australijczyk,
20) pokój w Hiltonie,
21) ulotka propagandowa,
22) zarys sylwetki.

Pionowo:
1) złota jabłoń,
2) irysy lub krówki,
3) buty dla diwy,
4) rodzaj sklepu,
5) sąsiad Bułgara,
6) przenosi ciężary,
11) nagłe spostrzeżenie,
12) paczka, tobołek,
13) obrońca w todze,
15) ogrodowa ścieżka,
17) skóra na rękawiczki,
18) np. walet trefl.

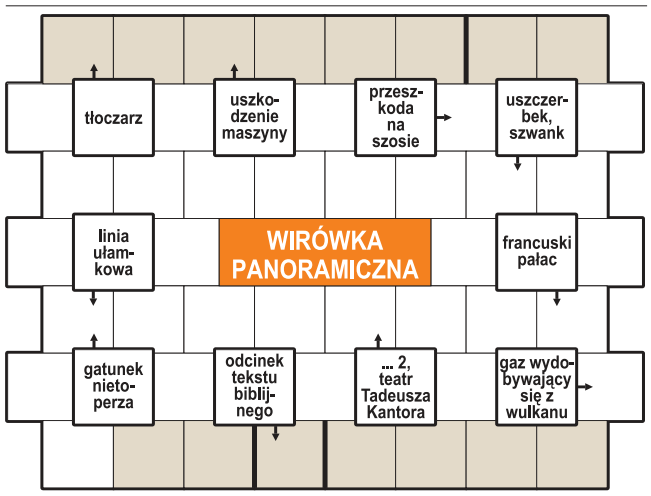

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: przysłowie.

Duet jolek

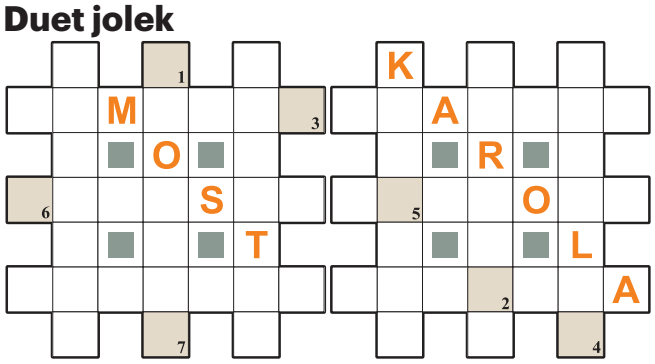

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 7, utworzą rozwiązanie. W przypadkowej kolejności:
– Małgorzata, aktorka z „Lalki"
– np. „Seksmisja" lub „Miś"
– dawna jednostka długości
– autor, twóca
– mityczny kapłan Apollina
– mieszkaniec Aszchabadu
– teren ćwiczeń wojskowych
– kamienny meteoryt
– linijki tekstu
– Kevin, aktor z USA („JFK")
– dawny gród obronny
– wartość banknotu

Logogryf

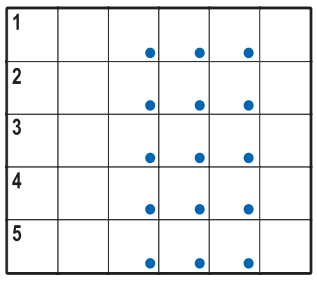

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł polskiego filmu.
1) koń maści białej w plamy,
2) Kazimierz, aktor z „Polskich dróg",
3) moment, okamgnienie,
4) mały pokój bez okna, zwykle sypialny,
5) urządzenie do sortowania ziarna zbóż.

Szyfr

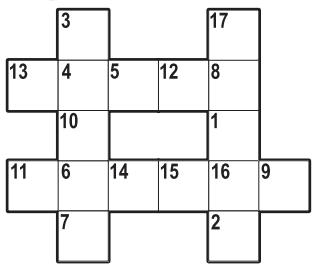

Litery z pól od 1 do 17, utworzą rozwiązanie: imię i nazwisko aktorki.
Poziomo:
13) rynek po którym przechadzał się Sokrates,
11) „... wieczorową porą".
Pionowo:
3) kłamie jak z nut,
17) kamień z wypukłą rzeźbą.

Krzyżówka

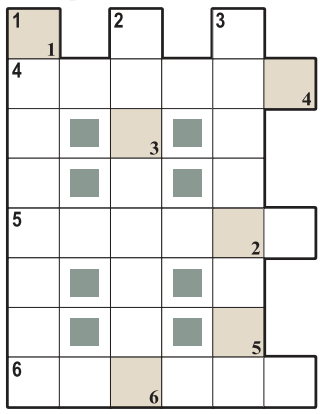

Litery z pól od 1 do 6, utworzą rozwiązanie.
Poziomo:
4) bada latające spodki,
5) miasto w Holandii znane z operacji wojskowej „Market-Garden",
6) film Jamesa Camerona.
Pionowo:
1, 2, 3) europejskie kraje.

Rozwiązania

Krzyżówka panoramiczna: ... suwak mi się zaciął; **krzyżówka A-Ż:** baletnica; **krzyżówka z hasłem:** Obietnica nie nakarmi; **wirówka panoramiczna:** Prawda koło w oczy; **duet jolek:** Weltawa; **logogryf:** „Rancco Willkowyje"; **szyfr:** Małgorzata Braunek; **krzyżówka:** Belgia.

eprasa.pl 7650a3d8f2

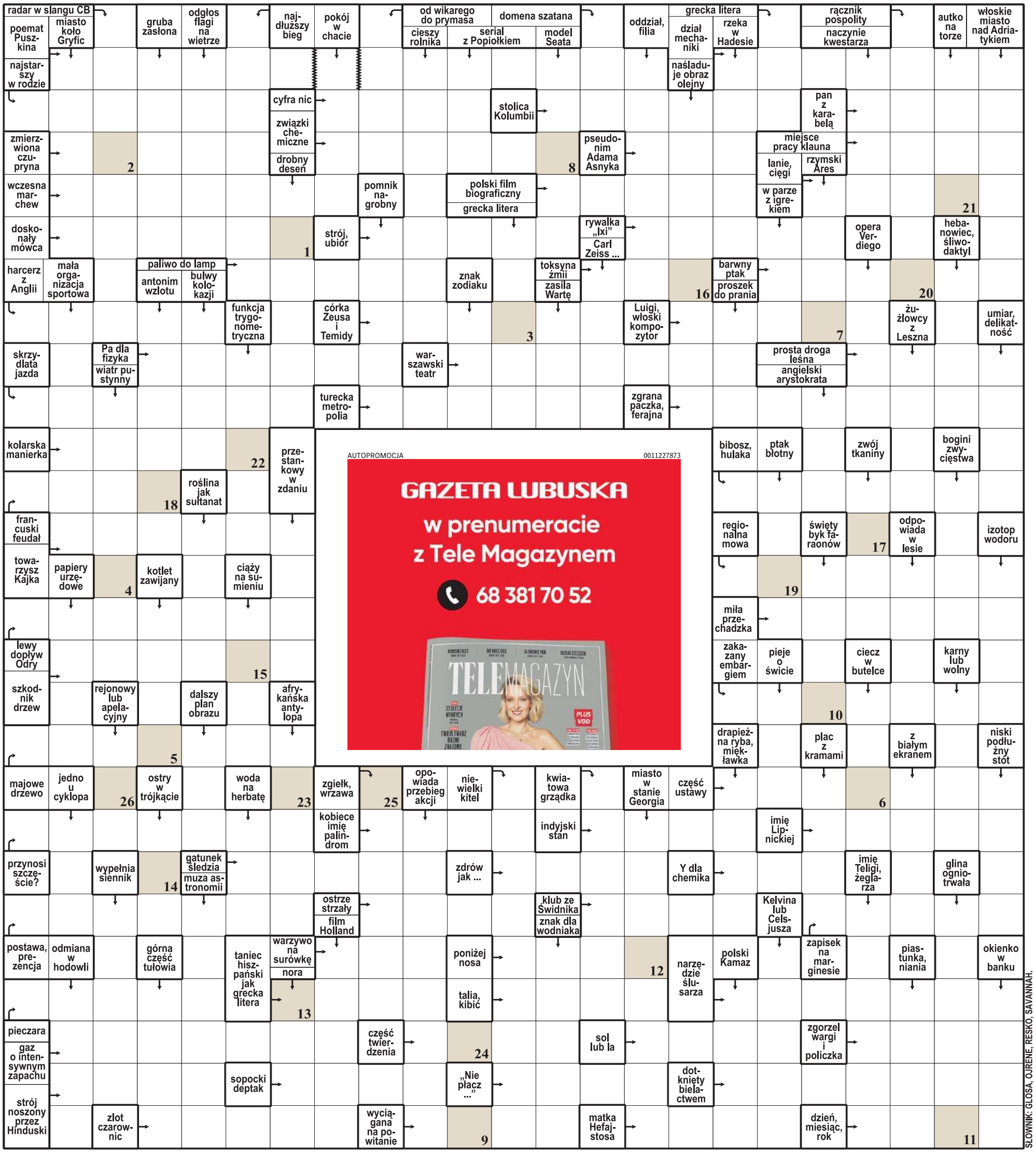

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26, utworzą rozwiązanie: myśl Owidiusza.

ROZWIĄZANIE: RZECZY SIĘ STAJĄ, IDEE ISTNIEJĄ.

eprasa.pl 7650a3d8f2

Rzucił klątwę na Messiego i Argentynę. Czy dojdzie do największej sensacji XXI?

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Kończymy 1/16 finału piłkarskich mistrzostw świata. W nocy z piątku na sobotę ostatnie mecze tej rundy.**

Argentyna zmierzy się z Republiką Zielonego Przylądka w 1/16 finału. Tymczasem sporo emocji wywołała wypowiedź szamana, który przewiduje sensacyjny scenariusz. Według Nany Kwaku Bonsamy debiutująca reprezentacja ma sprawić niespodziankę i awansować do kolejnej rundy. Co więcej, jego zdaniem Leo Messi wyczerpał już swój „limit" bramek na turnieju, który ma zatrzymać się na sześciu trafieniach.

Niezależnie od tej przepowiedni Messi stanie przed szansą powiększenia dorobku bramkowego. Argentyńczyk ma już 19 goli w klasyfikacji strzelców wszech czasów mistrzostw świata, czyli o jedno więcej od goniącego go Kyliana Mbappé.

Tuż za nimi znajduje się Erling Haaland. Początek meczu Argentyny z Republiką Zielonego Przylądka w sobotę, 4 lipca o północy czasu polskiego. Transmisja w TVP 1 i TVP Sport. Skomentują go Maciej Iwański oraz Radosław Gilewicz.

Kilka godzin wcześniej o awans powalczą Australia i Egipt. Obie reprezentacje zajęły drugie miejsca w grupach. „Kangury" ustąpiły jedynie współgospodarzom turnieju – Stanom Zjednoczonym, natomiast Egipt zakończył fazę grupową za plecami Belgii. Początek spotkania w piątek o godz. 20.00. Transmisja w TVP 2 i TVP Sport.

W meczu Kolumbia – Ghana poznamy ostatniego uczestnika 1/8 finału. Zdecydowanym faworytem jest Kolumbia, która wygrała grupę K, wyprzedzając Portugalię. Ghana awansowała z trzeciego miejsca, kończąc fazę grupową z dorobkiem 4 punktów, za plecami Chorwacji i Anglii. Początek spotkania w nocy z piątku na sobotę o godz. 3.30 czasu polskiego. Transmisja w TVP 2 i TVP Sport.©℗

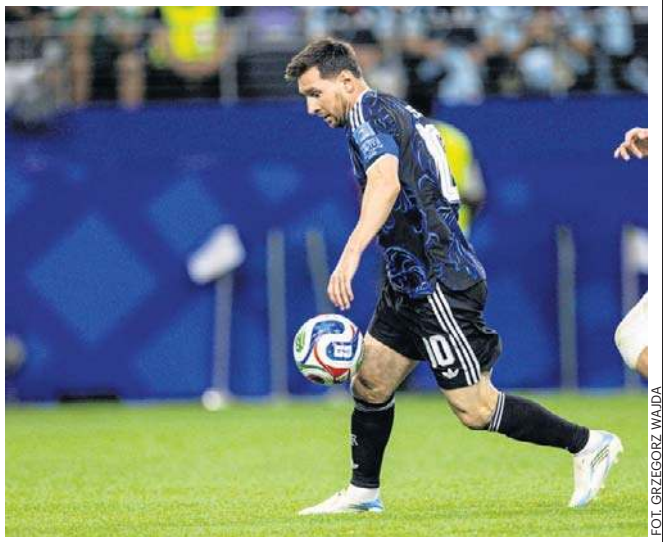

FOT. GRZEGORZ WAJDA

Na Argentyńczyka Leo Messiego padła klątwa jednego z afrykańskich szamanów. Czy będzie skuteczna?

Wybawca Kane, karny dla Belgii i spokojny awans Amerykanów

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Anglia i Belgia odwróciły wynik w meczach z drużynami z Afryki i awansowały do 1/8 finału mistrzostw świata. USA w „dziesiątkę" poradziły sobie z Bośnią i Hercegowiną.**

Reprezentacja Anglii strasznie męczyła się z drużyną Demokratycznej Republiki Konga. W 7. minucie niespodziewanie pomocnik Bryan Cipenga dał drużynie DR Kongo prowadzenie strzałem z bliskiej odległości. Zespół „Trzech Lwów" przez niemal 70 minut nie mógł znaleźć sposobu na wyrównanie. Dopiero w 75. minucie napastnik reprezentacji Anglii Harry Kane wziął sprawy w swoje ręce i uderzeniem głową doprowadził do stanu 1:1. A w 86. minucie otoczony przez trzech obrońców, uciekł wszystkim, poprawił swoją pozycję i strzałem z dystansu w okienko zapewnił Anglii zwycięstwo 2:1.

Kane zdobył już na obecnym mundialu 5 bramek, a 13 razy trafiał do siatki w historii mistrzostw świata, co pozwoliło mu wyprzedzić Pelego z 12 golami i usadowić się na 7. miejscu w klasyfikacji strzelców mundiali (prowadzi Argentyńczyk Lionel Messi z 19 bramkami przed Francuzem Kylianem Mbappe z 18 golami i Niemcem Miroslavem Klose z 16 trafieniami).

Harry został pierwszym piłkarzem w historii reprezentacji Anglii, który strzelił dwa gole po 75 minutach regulaminowego czasu gry w meczu na mistrzostwach świata.

Kane strzelił też 84 w reprezentacji Anglii, czym zrównał się z Ferencem Puscasem pod względem liczby goli w drużynie narodowej i razem ze słynnym Węgrem zajmuje 9. miejsce w klasyfikacji reprezentacyjnych strzelców wszech czasów, w której prowadzi Portugalczyk Cristiano Ronaldo – 145 goli przed Leo Messim – 123 gole i Irańczykiem Ali Daei – 109 goli (Robert Lewandowski z 89 bramkami jest siódmy w tym zestawieniu).

FOT. EPA/PAP

Kapitan reprezentacji Anglii Harry Kane wybawił zespół „Trzech Lwów" z opresji w meczu 1/16 finału z DR Konga

– Szczerze mówiąc, to uczucie jest po prostu niesamowite. Co za szalony mecz! To bardzo uparta drużyna, ale po pierwszej przerwie na uzupełnienie płynów graliśmy znacznie lepiej, chociaż ich bramkarz popisał się kilkoma niesamowitymi obronami. Rozmawialiśmy o tym, że nadchodzi czas, aby ktoś coś zrobił, i że każdy może być bohaterem. Dziś ja zostałem tym bohaterem – skomentował swój występ Harry Kane.

Anglia zagra z Meksykiem w 1/8 finału w poniedziałek o godz. 2.00 czasu środkowoeuropejskiego.

Reprezentacja Belgii uniknęła porażki w regulaminowym czasie gry z Senegalem, przegrywając 0:2 do 85. minuty. Bramki Romelu Lukaku i Youriego Tielemansa doprowadziły do dogrywki, w której „Czerwone Diabły" strzeliły trzeciego gola z kontrowersyjnego rzutu karnego. Sędzia Said Martinez z Hondurasu, mimo interwencji VAR, podyktował rzut karny po faulu Lamine Camary na Yourigim Tielemansie. Sam poszkodowany zamienił „jedenastkę" na zwycięską bramkę, dającą awans do 1/8 finału.

Gol Tielemansa w 120+5 minucie z rzutu karnego (124 minuta i 43 sekunda) okazał się najpóźniej strzelonym w historii mistrzostw świata. Wcześniej takim osiągnięciem szczycił się Algierczyk Abdelmoumene Djabou, który zdobył bramkę w 120. minucie i 49. sekundzie w 1/8 finału z Niemcami (1:2) w 2014 roku.

Reprezentacja Stanów Zjednoczonych pokonała Bośnię i Hercegowinę 2:0. W ostatniej minucie pierwszej połowy Amerykanom udało się zamienić przewagę na bramkę Folarina Baloguna, który skierował odbitą piłkę od obrońców między nogami bramkarza Nikoli Vasilja. To trzeci gol amerykańskiego napastnika na mundialu 2026 roku na swojej ojczystej ziemi.

W 64. minucie Balogun sfaulował środkowego obrońcę Tarika Muharemovicia, za co ujrzał czerwoną kartkę i choć „Jankesi" przez pół godziny grali w osłabieniu, udało im się zdobyć drugą bramkę – Malik Tillman z rzutu wolnego.

Na pocieszenie gości – bośniacki napastnik Edin Džeko zapisał się w historii – mając 40 lat i 106 dni został pierwszym zawodnikiem z pola w wieku 40 lat lub starszym, który zagrał w fazie pucharowej mundialu.

Reprezentacja USA po raz czwarty w historii pokonała drużynę z Europy na mistrzostwach świata. Tym razem wydarzyło się to w meczu 1/16 finału z Bośnią i Hercegowiną. Wcześniej w 1930 roku zwyciężyła 3:0 Belgię, w 1950 roku 1:0 Anglię i w 2002 roku 3:2 Portugalię.

Tym samym wszystkie trzy drużyny będące gospodarzami mistrzostw świata – USA, Kanada i Meksyk awansowały do 1/8 finału turnieju.©℗

Hubert Hurkacz: Ambicje mam na pewno większe niż trzecia runda

Agnieszka Bialik z Londynu
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **– Mój trener lubi dopracowywać detale, na korcie skupia się na jakości. To charyzmatyczna postać – przekonuje Hubert Hurkacz.**

Jakie to uczucie być w 3. rundzie, po powrocie po kontuzji?
Cieszę się z wygranej, nieważne czy bez straty seta, czy nie. I że będę miał kolejne wyzwanie na mojej drodze. Ambicje mam na pewno większe niż trzecia runda. Każdy mecz na wielkim szlemie jest dużym wyzwaniem. To był trudny mecz, zwłaszcza w pierwszym secie.

Pana kolejnym rywalem będzie Amerykanin Tommy Paul, aktualnie 25. rakieta świata, finalista turnieju w Queens, imprezy poprzedzającej Wimbledon. Graliście cztery razy, trzy z tych spotkań pan przegrał.
Skoro przegrałem trzy razy – to znaczy, że to nieprzyjemny rywal (śmiech). Ma bardzo dobry return i świetnie porusza się po korcie. W ostatnich latach miał dobre wyniki i był w finale w Queens dwa tygodnie temu, więc na trawie czuje się świetnie. Będzie to dobre sprawdzenie moich umiejętności.

Z jakiego elementu gry jest pan najbardziej zadowolony po tych dwóch wygranych?
Grałem równo, solidnie, w kluczowych momentach, kiedy rywal miał okazję na przełamanie, podnosiłem swój poziom. Ważne, że utrzymywałem swój serwis. Dzięki temu wywiera się większą presję na przeciwniku. Łatwiej jest też o szanse i okazje dla siebie.

Jeden z punktów zdobył pan po pięknym rzucie na kort i zagraniu woleja. Czy nie boi się pan takich uderzeń? Przy okazji takiego właśnie zagrania nabawił się pan kontuzji na Wimbledonie dwa lata temu…
Cała rekonwalescencja i powrót były dość ciężkie. Przez kilka miesięcy w ogóle nie mogłem się ruszać. Zabiegi nie dawały poprawy przez długi czas, aż a końcu zacząłem robić progres. Miałem okazję zrobić cały okres przygotowawczy. Pomału nabierałem większej pewności siebie.

Od niedawna pana trenerem jest Francuz Gilles Cervava, który w przeszłości doprowadził Rosjanina Daniła Miedwiediewa do triumfu w US Open. Czy różni się od poprzednich pana szkoleniowców?
To ciekawy szkoleniowiec, niesamowita postać. Jest inny niż poprzedni moi trenerzy. Bardzo dba o szczegóły, ważna dla niego jest komunikacja ze sztabem, z teamem. Lubi dopracowywać detale, by wszystko grało. Na korcie skupia się na jakości. To charyzmatyczna postać.

W pana boksie pojawiła się tajemnicza pani…
To moja wspaniała dziewczyna, Joanna, która jest dla mnie cudownym wsparciem.

Szybki awans Igi Świątek

W meczu drugiej rundy gry singlistek na korcie centralnym All England Lawn Club broniąca tytułu Iga Świątek zdemolowała czeską tenisistkę, finalistkę Wimbledonu sprzed pięciu lat, Karolinę Kvitovą 6:1. 6:3.

Mecz 25-letniej Polki z 34-letnią Czeszką trwał 70 minut.©℗

eprasa.pl 7650a3d8f2

PIŁKA NOŻNA MISTRZ ŚWIATA Z 2014 ROKU ZAKOŃCZYŁ PIŁKARSKĄ KARIERĘ I ZOSTAŁ WŁAŚCICIELEM GÓRNIKA ZABRZE

Lukas Podolski - z podwórka Sośnicy do serialu Netflixa

Rafał Musioł
r.musiol@dz.com.pl

PIŁKA NOŻNA. **Dotrzymał słowa, chociaż niewielu w to wierzyło. Teraz poszedł dalej - wziął na siebie całą odpowiedzialność za przyszłość Górnika Zabrze.**

Koniec kariery piłkarskiej mistrza świata z 2014 roku niewątpliwie był momentem poruszającym. Symboliczny gest ściągnięcia koszulki po przejściu przez szpaler oznaczał jednocześnie rozpoczęcie nowej ery, w której Lukas Podolski piłkarz oficjalnie przeobraził się w Lukasa Podolskiego właściciela Górnika Zabrze.

Niedostępna koszulka

Miłość do Górnika Lukas Podolski wyniósł z domu.

- Cała Sośnica kibicowała Górnikowi, ale nigdy nie było dane mi w nim zagrać - wspomina w wywiadach ojciec Waldemar Podolski, który kopał piłkę w Górniku, ale tym z Knurowa.

W listopadzie 1987 rodzina wyjechała do Niemiec, gdzie mieszkali już seniorzy rodu. Trafili w pobliże Kolonii.

- Było szczęście, bo w tym ośrodku, gdzie mieszkaliśmy, było boisko i dużo chłopaków z pasją do gry, z różnych krajów. Tam na ulicy w piłkarskiej walce jeden na jeden powstawał charakter - wspomina Lukas. - Miałem dziesięć lat jak znalazłem się w FC Koeln. I nie było łatwo. Nie stać mnie było na wiele rzeczy. Byłem szczęśliwy jak miałem pieniądze na bilet. Ile razy ja jeździłem bez biletu na treningi... Albo jak już dostawaliśmy jako juniorzy po dwa albo więcej biletów na mecze FC Koeln, a tata nie szedł, to jeden się sprzedało, do tego pozbierało pięćdziesiąt kubków z kaucją, za każdy chyba dwie marki, i jakoś to było. Potem zacząłem trochę zarabiać, pierwszy kontrakt pozwolił mi już iść w Kolonii na kawę czy obiad.

Mimo tych wielkich życiowych zmian klub z Roosevelta był nadal ważny.

- Chciałem mieć koszulkę Górnika, ale się nie dało kupić, bo nie było sklepiku. Szło się z mamą na giełdę w Sośnicy i tam się kupowało kilka koszulek Barcelony albo Brazylii i wracałem do Niemiec, gdzie w nich grałem na ulicy. Ale ta Górnika byłaby najlepsza - opowiada były już piłkarz.

W Kolonii zaczyna wielką karierę, z niej rusza w wielki świat. Dziś jest największą legendą i ikoną FC Koeln. Oficjalny pożegnalny mecz w październiku 2024 roku pokazał to w pełni. Popularność „Poldiego" na Śląsku nigdy zapewne nie osiągnie takich zasięgów jak w mieście słynącym z katedry.

PZPN się nie popisał

Piłkarska droga Podolskiego jest długa i powszechnie znana. W CV zapisał kluby, z których każdy jako pojedynczy przystanek byłby dla mnóstwa zawodników powodem do chluby. Bayern Monachium, Arsenal Londyn, Inter Mediolan, Galatasaray Stambuł, Vissel Kobe, Antalyaspor... W każdym kraju zdobywał trofea. Po drodze, w 2004 roku, po przejściu przez kadry od U-15 do U-21 trafił do reprezentacji Niemiec, co wywołało wielkie emocje w Polsce.

- Może jakby PZPN starał się wcześniej i szybciej. I był bardziej konkretny. Jakieś rozmowy były u babci w mieszkaniu, koszulkę mi dali, ale Niemcy starali się mocniej. Jak masz szansę zagrać, to nie czekasz na innych - tak Lukas wspominał ten rozdział kariery.

Nigdy tej decyzji nie żałował. Dzięki grze dla Niemiec sięgnął po dwa brązowe i ten najcenniejszy, złoty medal mistrzostw świata. 130 meczów i 49 goli - także w „die Mannschaft" był gwiazdą. Jeden występ był szczególny - na Euro 2008 strzelił dwie bramki Polsce.

- To były wielkie emocje, ale co miałem robić? Gram dla Niemiec i dla Niemiec strzelam - mówił w strefie mieszanej po meczu.

Co ciekawe - z polskimi dziennikarzami rozmawiał po polsku, co stanowiło duży kontrast wobec zachowania Miroslava Klosego.

Słynna obietnica

Nawet w szczycie kariery przyjeżdżał do babci w Sośnicy i zaglądał wtedy na stadion Górnika. Przy okazji takich wizyt dostawał stanowiącą kiedyś obiekt pożądania koszulkę zespołu z Roosevelta, zaprzyjaźnił się też z pracującymi w klubie ludźmi. Szczególny kontakt miał z nieżyjącym już Krzysztofem Majem. Pojawiła się też obietnica, że granie w piłkę zakończy właśnie w Górniku.

- Zabrze to moje miasto, dorastałem pięć minut od stadionu Górnika. Czułem, że jestem coś winien klubowi - tłumaczył włoskiemu dziennikarzowi z „La Gazzetta dello Sport", który przyjechał, by na własne oczy zobaczyć, jak Podolski dotrzymuje słowa.

Do szatni wszedł w lipcu 2021 roku. Na lotnisku w Pyrzowicach witał go Stanisław Oślizło. Pięć lat później wielki kapitan wielkiego Górnika razem z Podolskim podnosił Puchar Polski i odbierał srebrne medale za wicemistrzostwo kraju.

Dla Górnika na boisku zrobił dużo, ale poza nim jeszcze więcej. Chociaż klub długo nie potrafił wykorzystać potencjału swojej gwiazdy, to robił swoje. Dzięki swoim kontaktom pomagał przy organizacji zgrupowań, kupił autobus dla Akademii, pośredniczył w rozmowach transferowych. Odgrywał rolę nie do przecenienia.

W końcu poszedł na całość i ogłosił gotowość do wykupienia klubu z rąk miasta i odcięcia go od politycznej pępowiny, która stanowiła barierę dla rozwoju Górnika.

Klub jak dom

Cały proces trwał ponad 900 dni, w tym czasie Podolski rozmawiał z czterema prezydentami (formalnie jedna z nich była kuratorem). W końcu marzenia kibiców doczekały się ziszczenia. Umowa została podpisana 20 maja, a dzień później Lukas ogłosił zakończenie sportowej kariery. W momencie idealnym - razem z Górnikiem sięgnął po Puchar Polski i wicemistrzostwo kraju. Na to pierwsze trofeum w Zabrzu czekano od 1972 roku, na medal od 1994.

- Nie czuję wzruszenia. Właściwie od dwóch lat działałem już jak właściciel klubu. Ten podpis niczego nie zmieni, nie będę przecież teraz inaczej wchodził do biura i inaczej traktował ludzi, którzy dla Górnika pracują - stwierdził Podolski. - Na pewno będziemy zarządzać z głową. Sytuacja finansowa jest trudna, trzeba spłacić długi. To jak z domem. Najpierw musisz spłacić kredyty i tak dalej, a dopiero potem możesz wydawać pieniądze na inne rzeczy.

Serial na urodziny

4 czerwca Lukas Podolski obchodził 41. urodziny. Tego też dnia Netflix pokazał pierwszy odcinek miniserialu „Poldi", poświęconego karierze właściciela Górnika.

- Kręcenie tego zakończyło się już jakiś czas temu i ten motyw zakupu Górnika pojawia się może tylko w kilku rozmowach. To nie jest też serial o Górniku. Trochę Zabrza oczywiście jest, ale nie będzie to główna historia. Oni latali po świecie, Niemcy, Włochy, Japonia, Turcja, Anglia, dużo o reprezentacji Niemiec. Tam, gdzie grałem i żyłem - opowiadał Podolski.

Nie wiadomo jednak, czy Netflix nie zaplanował „dogrywki". Jego przedstawiciele pojawili się bowiem na ostatnim meczu ostatniego sezonu Podolskiego-piłkarza.

- Lubię wszystkich zaskakiwać, wy dziennikarze też lubicie tę zabawę, prawda? - retorycznie pyta właściciel Górnika.©℗

FOT. KARINA TROJOK

Lukas Podolski dotrzymał słowa i w 2021 roku pojawił się, by grać dla Górnika Zabrze. Błyskawicznie zyskał uwielbienie kibiców i ta miłość trybun przetrwała do dziś

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

Swoją piłkarską karierę zakończył ostatnim w tym sezonie meczem, którym Górnik przypieczętował wicemistrzostwo Polski. Dwa dni wcześniej został właścicielem klubu

eprasa.pl 7650a3d8f2

SPORT

www.sportowy24.pl

ŻUŻEL

Stal Gorzów zajęła drugie miejsce w rozegranym w Łodzi trzecim turnieju ćwierćfinałowej fazy Drużynowych Mistrzostw Polski Juniorów. Stalowcy zdobyli 38 pkt.: Kewin Nycz 5 (1,1,2,-,1), Igor Kordun 9 (2,2,-,3,2), Oskar Chatłas 9 (3,-,3,3,u/-), Kacper Sobkowiak 10 (-,2,3,2,3), Hubert Jabłoński 5 (2,1,1,1). Wygrała Polonia Bydgoszcz - 43 pkt. Przed ostatnim turniejem oba zespoły zapewniły sobie awans do fazy półfinałowej.

FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

ŻUŻEL

W sobotę w Bydgoszczy (godz. 19.00) odbędzie się drugi finałowy turniej Indywidualnych Mistrzostw Polski. Spośród lubuskich żużlowców wystartują Dominik Kubera i Przemysław Pawlicki (obaj Falubaz Zielona Góra).

Falubaz pod Jasną Góra, Stal w dalekim Lublinie

Cezary Konarski, Jarosław Miłkowski
sport@gazetalubuska.pl

ŻUŻEL. **Przed lubuskimi żużlowcami wyjazdowe mecze PGE Ekstraligi. Stelmet Falubaz Zielona Góra dziś zmierzy się z Krono-Plast Włókniarzem Częstochowa, a Gezet Stal Gorzów w niedzielę czeka starcie z Orlen Oil Motorem Lublin.**

W weekend ekstraligowcy rozegrają 11. kolejkę spotkań, a później żużlowców czeka prawie miesięczna (do 2 sierpnia) przerwa w rozgrywkach. Jak spiszą się lubuskie ekipy przed pauzą? Zdecydowanie więcej szans na sukces daje się Zielonogórzanom.

Pewne zwycięstwo, czy kolejny niepokojący sygnał?

Fatalnie spisujący się w tym sezonie Falubaz stanie przed wyzwaniem, które powinien zakończyć powodzeniem. W piątek o godz. 18.00 zielonogórscy żużlowcy rozpoczną rywalizację w Częstochowie, na torze najsłabszej ekstraligowej drużyny. Włókniarz nie wygrał ani jednego meczu, zwykle otrzymując od rywali potężne ciosy. Tak było m.in. w majowym spotkaniu w Zielonej Górze, gospodarze triumfowali 56:34.

Później Falubaz zdołał wygrać tylko jeden mecz, tracąc szanse na udział w rywalizacji o medale. - Zostaje nam teraz skupić się na tym, żeby pozbierać drużynę i przygotować się do kolejnych meczów, tych decydujących - powiedział Grzegorz Walasek, trener Falubazu, po ostatniej porażce z Motorem Lublin. - O tym trzeba myśleć, musimy bronić Ekstraligi, bo po prostu źle to wygląda.

Trudno nie zgodzić się z zielonogórskim szkoleniowcem. Na pewno sytuacja Zielonogórzan jest bardzo zła, będzie czekać ich rywalizacja o utrzymanie w elicie w fazie play down. Marne to pocieszenie dla zielonogórskich kibiców, że w jeszcze gorszym położeniu są Częstochowianie, ale to właśnie na torze pod Jasną Górą Falubaz ma okazję udowodnić, że miejscowe „Lwy" stoją na czele niechlubnej kolejki zespołów z najmniejszymi szansami na utrzymanie. Inny wynik niż pewne zwycięstwo Zielonogórzan, będzie dla Falubazu kolejnym niepokojącym sygnałem w kontekście obrony przed degradacją.

FOT. MARIUSZ KAPAŁA

Czy Falubaz drugi raz pokona częstochowskie „Lwy"?

Kłopotów z kontuzjami ciąg dalszy

W niedzielne popołudnie (godz. 17.00) swój mecz z kolei rozegra Gezet Stal Gorzów, która wybierze się do dalekiego Lublina. Jeszcze dwa tygodnie temu można było wyczekiwać emocjonujących starć liderów obu ekip - Bartosza Zmarzlika i Jacka Holdera. Kontuzja tego drugiego sprawiła jednak, że Australijczyk może być jedynie zawodnikiem zastępowanym. A to rozwiązanie - jak pokazał ostatni domowy mecz żółto-niebieskich z Unią Leszno - przynosi niewiele ponad połowę dorobku punktowego, jaki zwykł zapisywać przy swoim nazwisku Jack Holder. Na liście najskuteczniejszych zawodników PGE Ekstraligi zajmuje on drugie miejsce (właśnie za Bartoszem Zmarzlikiem).

W pierwszym, rozegranym w maju, meczu obu drużyn, lepsi byli stalowcy, wygrali 46:44. W obliczu kontuzji Jacka Holdera, o zdobycie punktu bonusowego (czyli de facto osiągnięcia remisu) może być niezwykle trudno. Tym bardziej, że do składu Motoru wrócił Fredrik Lindgren. Jak można było zauważyć podczas ostatniego meczu Lublinian w Zielonej Górze, poza torem nie jest on jeszcze w pełni sprawny (widać było jego kłopoty z chodzeniem), ale na torze kontuzji u Szweda jednak nie widać.

Siła rażenia gospodarzy wcale nie musi być też mniejsza z powodu kontuzji Bartosza Bańbora. W jego miejsce ma pojechać Sven Cerjak, niespełna 17-letni Słoweniec, który bardzo szybko rozwija się w „dorosłym" żużlu. W ostatnią niedzielę przy W69 wygrał pierwszy bieg w PGE Ekstralidze. Z kolei w środę otrzymał stałą „dziką kartę" na starty w cyklu SGP2, czyli w indywidualnych mistrzostwach świata.

Dodajmy, że brak Jacka Holdera nie jest jedynym problemem stalowców. Podczas środowej rundy Drużynowych Mistrzostw Polski Juniorów w Łodzi w ostatnim swoim starcie przewrócił się Oskar Chatłas. Jak poinformował wczoraj gorzowski klub, badania nie wykazały żadnych złamań, jednak stłuczenia uda, barku, biodra i klatki piersiowej wykluczają zawodnika ze startów w najbliższym czasie. Dodajmy, że w składzie Stali nie ma też innego kontuzjowanego zawodnika Czecha Adama Bednáře.

● **KRONO-PLAST WŁÓKNIARZ CZĘSTOCHOWA - STELMET FALUBAZ ZIELONA GÓRA**
Piątek - godz. 18.00; stadion w Częstochowie; **transmisja TV:** Canal+ Sport i Canal+ Sport 5.
Krono-Plast Włókniarz: 9. Rohan Tungate, 10. Sebastian Szostak, 11. Jakub Miśkowiak, 12. Mads Hansen, 13. Jaimon Lidsay, 14. Szymon Ludwiczak, 15. Bartosz Śmigielski.
Stelmet Falubaz: 1. Dominik Kubera, 2. Andrzej Lebiediew, 3. Przemysław Pawlicki, 4. Rafał Sękowski, 5. Leon Madsen, 6. Oskar Hurysz, 7. Damian Ratajczak.

● **ORLEN OIL MOTOR LUBLIN - GEZET STAL GORZÓW**
Niedziela - godz. 17.00; stadion w Lublinie; transmisja TV: Canal+ Sport.
Orlen Oil Motor: 9. Martin Vaculik, 10. Fredrik Lindgren, 11. Kacper Woryna, 12. Mateusz Cierniak, 13. Bartosz Zmarzlik, 14. Bartosz Jaworski, 15. Cven Cerjak.
Gezet Stal: 1. Paweł Przedpełski, 2. Jack Holder zz, 3. Marcel Szymko, 4. Hubert Jabłoński, 5. Anders Thomsen, 6. Oskar Paluch, 7. Igor Kordun. ©℗

MOIM ZDANIEM

FUTBOL PONAD WSZYSTKO

Andrzej Flügel

Lato w koszykówce to niby spokojny czas. Jeszcze wspomina się stary sezon, ale już myśli się i działa pod nowy. Zawodnicy udają się na zasłużone urlopy, a trenerzy i prezesi klubów ostro pracują, by zmontować fajną ekipę. Gala Orlen Basket Ligi generalnie zamknęła poprzedni sezon. Cieszy nagroda najlepszego młodzieżowca dla zawodnika Zastalu Zielona Góra Jakuba Szumerta. Już dziś wiadomo, że wystąpi w zespole z Dallas w lidze NCAA. To dla niego wielki krok do przodu, no i gra za zupełnie inne pieniądze...

Nie dziwię się kibicom, którym nie podoba się, że najlepszym trenerem został szkoleniowiec warszawskiej Legii. Słusznie argumentują, że jeśli ten tytuł z klucza jest przyznawany szkoleniowcowi mistrza kraju, to nie ma mowy o żadnym wyborze, analizowaniu pod okiem którego trenera zespół zrobił największy postęp. Przecież czasem osiągnięcie dobrego wyniku ekipy, złożonej z teoretycznie słabszych zawodników, zakontraktowanych za stosunkowo mniejsze pieniądze powinno być wyżej cenione niż mistrzostwo zespołu, zmontowanego za dużą kasę. Zgadzam się z tą argumentacją. Też wydaje mi się, że biorąc pod uwagę dokonania, to co zrobił z zespołem, jak rozwinął zawodników i gdzie z nimi dotarł, najlepszym trenerem sezonu 2025/2026 był zielonogórzanin Arkadiusz Miłoszewski.

Cieszmy się z tego, że w hali CRS była największa średnia widzów w sezonie, bo ponad cztery tysiące. To wspaniała sprawa! Teraz czekamy na kolejne dobre wieści, bo z pewnością taką jest powrót do Zielonej Góry serbskiego centra Velijko Brkicia. Jak się wdarliśmy na górną półkę, to trzeba na niej pozostać. Wierzę, że tak będzie.

Piłkarskie mistrzostwa świata oprócz rzeczy, które mnie wkurzają, jak na przykład idiotyczne przerwy na nawadnianie, nawet jak pada deszcz, po to, by można było w tym czasie puszczać na telebimie reklamy, są imprezą która udowadnia, że futbol to najważniejsza dyscyplina sportowa, a mistrzostwa są w hierarchii wartości zaraz po igrzyskach olimpijskich. No bo czy w jakiejkolwiek dyscyplinie prezydent kraju ogłosiłby święto narodowe po zwycięstwie, nie w finale, ale zaledwie w 1/16 finału? Tak było ostatnio w Paragwaju. Albo szalona radość piłkarzy Curacao po tym, jak zdobyli pierwszą bramkę na mundialu i zupełnie nie zmąciło tej radości to, że stracili ich aż siedem. Tydzień później zremisowali mecz i niemal oszaleli ze szczęścia. Nie ukrywam, że byłem sceptyczny wobec powiększenia liczby zespołów, marudziłem, jak wielu fanów futbolu, że zamiast poważnych ekip pojawią się jakieś egzotyczne, które nie potrafią grać w piłkę. Okazuje się, że na przykład ekipy z Wysp Zielonego Przylądka czy Konga potrafią i to całkiem fajnie.

Te mistrzostwa pokazują też, że traktowanie niektórych reprezentacji jako słabeuszy to już przeszłość. Maroko w poprzednich mistrzostwach zajęło czwartą pozycję. Wtedy uważano, że to taki wyskok, jednorazówka. W tych finałach prezentuje się znów fajnie i właśnie wyeliminowało Holandię...©℗

GAZETA LUBUSKA
www.gazetalubuska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska,**
Z-ca redaktor naczelnej **Mateusz Różański,**
Prezes Makroregionu **Robert Glinkowski,**
Dyrektor marketingu oddziału **Aleksandra Sobolewska**

Redakcja al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra
skr. pocztowa 120, tel. 68 32 48 600, 68 32 48 805
fax 68 32 48 872, redakcja@gazetalubuska.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gazetalubuska.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 7650a3d8f2